

Ocaleni z Katynia

Podziemny wymiar sprawiedliwości

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 3(423) MARZEC 2026

pamięć o Zbrodni Katyńskiej

przestroga przed totalitaryzmem
i pogardą dla ludzkiego życia



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 3(423) marzec 2026



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3200 egz.



w numerze

4 Ocaleni z Katynia

Grupa ocalałych z Katynia reprezentowała wszystkie kierunki polityczne przedwojennej Polski – od nielicznych jawnych komunistów po zwolenników ONR i wrogów Sowietów. Rozmowa z dr. Tomaszem Szczepańskim, dyrektorem Muzeum Katyńskiego

Katarzyna Krzykowska

7 Niechciany raport

Już pod koniec kwietnia 1943 r. Amerykanie mieli szeroką wiedzę na temat Katynia za sprawą ppłk. Henry'ego Szymanskiego, oficera łącznikowego przy Armii Polskiej na Wschodzie, który dowiódł, że za zbrodnią sprzed 86 lat stali Sowietci

Waldemar Kowalski

12 Wolałem być z tą wiedzą sam. O odkryciu grobów katyńskich przez Polaków

Pierwsze informacje o ludobójstwie w Katyniu przekazała propaganda niemiecka w kwietniu 1943 r., ale odkrycia masowych grobów dokonali Polacy na początku marca 1942 r.

Przemysław Budzich

14 Sprawa Igo Syma i podziemny wymiar sprawiedliwości

Podziemny wymiar sprawiedliwości w okupowanej Polsce nie był wyłącznie narzędziem odwetu, lecz także próbą zachowania ciągłości państwa, które mimo utraty terytorium nie rezygnowało z egzekwowania prawa

Norbert Nowotnik

18 Marcowe listy

Polacy po Marcu '68 zdecydowanie bardziej opowiedzieli się po stronie protestujących niż rządzących krajem komunistów. Wśród popierających ludową władzę i potępiających protestującą młodzież znajdowali się również nadawcy, którzy nie mieli odwagi podać swojej tożsamości

Grzegorz Majchrzak

23 Żołnierz atleta

Rajmund Telesfor Paprzyca Niwiński, żołnierz września 1939 r., partyzant, m.in. w oddziale „Hubala”, dzięki swojej niezwykłej sile, wytrwałości i hartowi ducha stał się jednym z najsilniejszych ludzi w Polsce. O swoim ojcu opowiada Rajmund Niwiński

Katarzyna Zientara-Majewski

27 Moje filmy to osobiste światy...

Moje filmy to osobiste światy, które prezentuję widzom. W penetracji świata dokumentu odnajduję ogrom inspiracji. Rozmowa z Maciejem Drygasem, reżyserem filmów dokumentalnych i scenarzystą

Mateusz Wyderka

31 Biblioteka SZEFA URZĘDU

Okładka: Muzeum Katyńskie FOT. HANNA SATER



Radosnych Świąt Wielkiej Nocy

Z okazji Świąt Wielkanocnych pragnę złożyć
najserdeczniejsze życzenia zdrowia, spokoju
oraz wszelkiej pomyślności.

Niech ten wyjątkowy czas będzie dla nas
źródłem nadziei i optymizmu.

Lech Parell

LECH PARELL

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

dr Tomasz Szczepański
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ocaleni z Katynia

Grupa ocalałych z Katynia reprezentowała wszystkie kierunki polityczne przedwojennej Polski – od nielicznych jawnych komunistów po zwolenników ONR i wrogów Sowietów; zróżnicowane były też ich stopnie i przekrój wiekowy. Dlatego świadkowie wydarzeń, m.in. Józef Czapski i Stanisław Swianiewicz, rozważając przyczyny, dla których akurat tę grupę pozostawiono przy życiu mieli wrażenie jej całkowitej przypadkowości – powiedział kustosz Muzeum Katyńskiego dr Tomasz Szczepański.

Spośród ponad 14,5 tys. jeńców wojennych przetrzymywanych w trzech głównych obozach NKWD w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie ok. 400 osób uniknęło śmierci. Na jakiej podstawie wyselekcjonowano tę grupę? Decydował o tym przypadek, czy istniał konkretny klucz?

W literaturze podawana jest liczba 395 osób, ale imienna lista sporządzona przez Jędrzeja Tucholskiego wy-

mienia 432 nazwiska. Osoby te przewieziono początkowo do Pawliszczew Boru, znanego też jako obóz juchnowski, a wkrótce potem do obozu w Griazowcu, gdzie doczekały amnestii dla Polaków po układzie Sikorski-Majski z lipca 1941 roku. Nie znamy ich teczek personalnych, więc brakuje jednoznacznego źródła. Tym niemniej możemy wskazać nie jeden klucz, lecz raczej grupę powodów takiej decyzji.

Dlatego świadkowie wydarzeń, m.in. Józef Czapski i Stanisław Swianiewicz, rozważając przyczyny, dla których akurat tę grupę pozostawiono przy życiu, mieli wrażenie jej całkowitej przypadkowości. Rzeczywiście grupa ocalałych reprezentowała wszystkie możliwe kierunki polityczne – od nielicznych jawnych komunistów po zwolenników ONR i wrogów Sowietów zaangażowanych w działania przeciw-

ko nim; obejmowała także różne rodzaje broni i służb, zróżnicowane były też ich stopnie oraz przekrój wiekowy. Przy tym ostatnim trzeba jednak zauważyć, że większość nie ukończyła 35 lat. Można też mówić o pewnej nadreprezentacji lekarzy.

Istnieje dokument sowiecki informujący o jeńcach w Pawliszczew Borze, zawierający m.in. krótką informację o przyczynie skierowania ich tam. W sprawie 47 osób interweniowała ambasada niemiecka; głównie

leli m.in. Józef Czapski, prof. Wacław Komarnicki i Bronisław Młynarski – syn znanego dyrygenta Emila Młynarskiego. Dodatkowo 24 osoby zakwalifikowano jako osoby pochodzenia niemieckiego. Przypominam, że w tym czasie Niemcy i Sowieci byli sojusznikami. Niektórych Niemców przekazano potem stronie niemieckiej.

O 19 osób upomniało się poselstwo litewskie; w grupie tej znajdowało się trzech litewskich szpiegów, którzy odbywali wyroki w polskich więzieniach,

li się współpracownicy organów sowieckich, których zamierzano nadal eksploatować. Ostatnie 167 osób sklasyfikowano jedynie jako „pozostałych”, nie podając przy tym żadnego dodatkowego uzasadnienia.

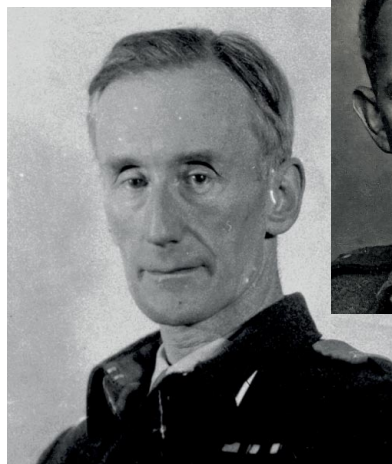
Szczególny jest przypadek Stanisława Swianiewicza, który z Kozielska dojechał transportem przeznaczonym na egzekucję do stacji Gniezdowo, a tam został oddzielony i skierowany na śledztwo do Moskwy z zarzutem szpiegostwa. Prawdopodobną przyczyną zainteresowania nim było nie tyle rzekome szpiegostwo, co przekonanie Sowietów, że posiada on jakąś szczególną wiedzę o gospodarce niemieckiej. Dostał wyrok łagru, wyszedł po amnestii i ani w Pawliszczew Borze, ani w Griazowcu nigdy nie był.

Część ocalałych trafiła do tzw. Willi Rozkoszy w Małachówce. Jaką rolę w planach Berii i Stalina mieli odegrać ci oficerowie, z Zygmuntem Berlinem na czele, jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej?

Stalin już w drugiej połowie 1940 roku, kiedy okazało się, że Niemcy szybko pokonały Francję i nie uwikłały się w wojnę pozycyjną, zaczął rozważać posłużenie się kartą polską. Temu służyło wyselekcjonowanie kadry oficerów mogących tworzyć polskie jednostki przy Armii Czerwonej, bez zgody legalnego rządu RP. Dodatkowym impulsem było fiasko rozmów Mołotowa w Berlinie w listopadzie 1940 roku w sprawie podziału stref wpływów. Warto jednak pamiętać, że w kilkunastoosobowej grupie oficerów skierowanych do Małachówki nie wszyscy byli gotowi na pełną kolaborację z Sowietami. I tak pobyt tam ppłk. Mariana Morawskiego zakończył się jego skierowaniem do więzienia w Butyrkach, podobnie było z mjr. Lisem i rtm. Łopianowskim. Zdecydowany na pełną kolaborację był ppłk Berling, który już w obozie nawiązał współpracę z organami sowieckimi.



Drużyna harcerska z Orle, 1917. W środku Stanisław Swianiewicz, pierwszy z prawej Witold Pilecki
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Major Józef Czapski
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Porucznik Stanisław Swianiewicz
FOT. DOMENA PUBLICZNA

chodziło o Niemców – obywateli polskich, ale w pewnych wypadkach o Polaków mających np. mieszane rodziny albo wpływowych niemieckich znajomych mogących wywołać interwencję ambasady. W ten sposób oca-

a po 17 września 1939 roku zostali aresztowani przez Sowietów. O kolejne 47 osób zabiegał wywiad GUGB, co prawdopodobnie wynikało z chęci wykorzystania w przyszłości ich wysoco specjalistycznej wiedzy. O wydzielenie 91 osób wnioskował z kolei zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych Związku Sowieckiego Wsiewołod N. Mierkułow – domniemywa się, że w tym gronie znajdowa-



Ekspozycja Muzeum Katyńskiego FOT. HANNA SATER

Prośbę o przyjęcie do Armii Czerwonej po 22 czerwca 1941 roku podpisało razem z nim sześciu oficerów, co jest przecież bardzo skromnym wynikiem

Kiedy więźniowie przetrzymywani w Gрязовцу zorientowali się, że ich koledzy z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa nie zostali wywiezieni do „innych obozów”, lecz zamordowani? Realnie mogło to nastąpić po ogłoszeniu przez Niemców odkrycia mogił katyńskich, czyli w kwietniu 1943 roku. Bo przecież nie domyślił się ich losu ani Swianiewicz siedzący w wagonie na stacji Gniezdowo, ani przynajmniej początkowo Czapski, który przecież poszukiwał żywych. Nawet zakładając, że informacje o zbrodni dotarły do kierownictwa państwa polskiego, np. poprzez misję opisaną przez Zbigniewa Koźlińskiego, co oczywiście wymaga założenia prawdziwości jego relacji, to ta informacja nie schodziła niżej. Plotki, jakie odnoto-

wał Czapski o rzekomym topieniu polskich jeńców w barkach na Morzu Białym, mogły być zarówno echem prawdziwych informacji o jakichś innych sowieckich egzekucjach, jak i celową dezinformacją sowiecką.

Czy grupa ocalałych była reprezentatywna dla całego korpusu oficerów i policjantów? Odnotowano w niej nadreprezentację osób o konkretnych poglądach politycznych lub wyznaniu?

Można mówić o pewnej nadreprezentacji komunistów, wobec ich marginalności w społeczeństwie II RP, ale nie można mówić o tym, że przeważali. Jeden z dokumentów sowieckich wskazuje, że w obozie w Gрязовцу znajdowało się 70 komunistów i 30 sympatyków komunizmu, co stanowiłoby ok. 25 proc. tej grupy. Nawet gdyby uwzględnić pewną dozę „urzędowego optymizmu” dokumentu sowieckiego w tym przypadku, to nadreprezentacja jest zauważalna – ta grupa to niecały procent ogółu więźniów Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Warto zaznaczyć, że byli tam ludzie różnych poglądów, w tym także zdecydowani przeciwnicy komunizmu i Sowietów, co potwierdzają wszystkie źródła.

Jak wyglądało w PRL życie tych, którzy przeżyli? Czy fakt, że ocaleni z Katynia, czynił ich obiektem szczególnej inwigilacji ze strony UB, czy wręcz przeciwnie – próbowano ich wykozystać do uwiarygodnienia sowieckiej wersji kłamstwa katyńskiego?

Tylko część wróciła do PRL, a ich losy wymagałyby dalszych studiów pod tym kątem. Warto pamiętać, że po 1956 roku celem polityki PRL w tej sprawie nie było już to, aby Polacy uwierzyli w wersję sowiecką, ale to, aby Polacy zapomnieli o sprawie. Jej przypominanie, nawet w duchu sowieckim, było niecelowe. Oczywiście oficjalnie podtrzymywano wersję sowiecką, ale w praktyce obowiązywało milczenie.

Jaką rolę ocalali, np. Józef Czapski czy Stanisław Swianiewicz, odegrali w informowaniu świata o zbrodni?

Ich książki jako relacje bezpośrednich uczestników tamtych wydarzeń, stanowiły i nadal stanowią świadectwa o pierwszorzędym znaczeniu. W szczególności należy wymienić dzieło Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi” – wydanie pierwsze z 1949 roku, publikowane wraz ze „Wspomnieniami starobielskimi”, które pierwotnie i osobno ukazały się już w 1944 roku. Książka ta odegrała kluczową rolę ze względu na przekłady na język angielski, francuski oraz niemiecki, a także dzięki rozpoznawalności autora jako znanego i cenionego artysty. Ponadto szeregi osób mniej znanych pozostawiło wspomnienia z niewoli, które poszerzają naszą wiedzę i utrwalają pamięć społeczną o tej sprawie.

Istotne było również przesłuchanie wielu osób z tej grupy przez Komisję Maddena w 1952 roku. Ze względu na oficjalny charakter organu powołanego przez Kongres USA oraz złożenie zaprzysiężonych zeznań, wydarzenie to nadało relacjom ocalałych wagę formalnych dokumentów procesowych.

Czy w archiwach rosyjskich mogą znajdować się dokumenty, które ostatecznie wyjaśnią zagadkę ocalałych, czy też obecny stan wiedzy pozwala już na postawienie kropki nad „i”?

Na pewno odnalezienie teczek personalnych grupy ocalałych mogłoby bardzo wiele wyjaśnić. Według notatki z 1959 roku ówczesnego szefa KGB Aleksandra Szelepina teczek personalnych osób zabitych w zbrodni katyńskiej miały zostać spalone. Nie wiadomo, czy Chruszczow zgodził się na jego wniosek. Nie ma jednak tam mowy o teczkach ocalałych, możliwe zatem, że one nadal istnieją. Ich udostępnienie wymagałoby oczywiście zmiany sytuacji politycznej w Federacji Rosyjskiej.

Rozmawiała Katarzyna Krzykowska

NIECHCIANY RAPORT

TEKST | Waldemar Kowalski

Już pod koniec kwietnia 1943 roku Amerykanie mieli szeroką wiedzę na temat Katynia. Wszystko za sprawą ppłk. Henry'ego Szymanskiego, oficera łącznikowego przy Armii Polskiej na Wschodzie, który dowiódł, że za zbrodnią sprzed 86 lat stali Sowietci.

Ustalenia Amerykanina polskiego pochodzenia nie pozostawiały złudzeń: mord katyński był „dziełem” NKWD. Właśnie dlatego Raport Szymanski stał się dla władz USA... poważnym problemem. Był na tyle kłopotliwy, że postanowiono go utajnić i schować do szuflady. Prezydent Franklin D. Roosevelt nie zamierzał stawiać na szali sojuszu ze Stalinem – „tylko” po to, aby zabiegać o prawdę.

Uciekli do Mandżurii

21 857 – co najmniej tylu polskich jeńców wojennych Sowieci zamordowali w ramach zbrodni katyńskiej. Niemal 15 000 ofiar stanowili jeńcy obozów specjalnych NKWD w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku. Byli to głównie oficerowie Wojska Polskiego oraz funkcjonariusze Policji Państwowej. Przez pierwsze miesiące niewoli więźniowie utrzymywali kontakt z rodzinami za sprawą przesyłanych listów. Jednak wiosną 1940 roku korespondencja nagle się urwała. Tak rozpoczął się ostatni etap gehenny ofiar – masowa eksterminacja oraz dekady kłamstwa i zapomnienia.

Rząd RP na uchodźstwie wielokrotnie pytał władze ZSRS o los „zaginionych” oficerów. Odpowiedzi były niejasne i sprzeczne. Moskwa utrzymywała, że jeńcy zostali zwolnieni albo rozproszeni po różnych regionach Związku Sowieckiego. Podczas rozmowy z gen. Władysławem Andersem, przeprowadzonej w grudniu 1941 roku, Stalin perfidnie kłamał: *Wydałem już wszystkie rozkazy, by ich zwolnić. Mówią nawet, że są na Ziemi Franciszka Józefa, a tam przecież nie ma nikogo. Nie wiem, gdzie są. Na co mam ich trzymać? Być może, że znajdując się w obozach na terenach, które zajęli Niemcy, rozbiegli się. – Dokądże mogli uciec?* – pytał polski dowódca. – *Do Mandżurii...* – odparł sowiecki dyktator.

Gdy wiosną 1943 roku Niemcy ogłosili odnalezienie masowych grobów w Katyniu, międzynarodowy skandal wisiał w powietrzu. Na Zachodzie zwyciężył jednak zimny pragmatyzm. Nikt nie zamierzał drażnić Stalina,

Henry Szymanski
pochodził z rodziny
polskich emigrantów,
ukończył akademię woj-
skową w West Point.
Znał język przodków
i mógł swobodnie roz-
mawiać z Polakami,
którzy wyszli
z „niehumanitarnej ziemi”

którego potężna armia przejmowała właśnie inicjatywę strategiczną w wojnie z III Rzeszą.

Na tropie zaginionych

Zbadaniem, na ile niemieckie doniesienia są prawdziwe, a na ile stanowią element propagandowego spektaklu,

zajął się amerykański wywiad wojskowy (G-2). Polecenie przyszło z samej „góry”, od szefa sztabu armii amerykańskiej – gen. George’a Marshalla. Realizatorem tej trudnej misji był ppłk Henry Szymanski, który już od roku przebywał na Bliskim Wschodzie jako oficer łącznikowy przy Armii Polskiej na Wschodzie. Pochodził z rodziny polskich emigrantów, ukończył prestiżową akademię wojskową w West Point. Znał język przodków, dzięki czemu mógł swobodnie rozmawiać z Polakami, którzy wyszli z „niehumanitarnej ziemi”.

Na temat zaginionych oficerów Szymanski natknął się już wcześniej, analizując – jako zastępca attaché wojskowego w Kairze – sytuację polskich żołnierzy ewakuowanych ze Związku Sowieckiego. Zeznając przed tzw. Komisją Maddena – powołaną w 1951 roku przez Kongres USA w celu zbadania okoliczności zbrodni katyńskiej – wyjaśniał: *W maju 1942 roku spotkałem się z generałem Andersem, który wtedy dopiero co przybył z Rosji, i otrzymałem od niego chyba pierwsze informacje na temat polskich oddziałów w Rosji. To wtedy po raz pierwszy usłyszałem między innymi o liczebności Armii Polskiej, żywności nadziejach,*



Grupa alianckich jeńców ogląda przedmioty wydobyte z masowych grobów w Lesie Katyńskim. Trzeci z prawej z profilu kpt. Donald B. Stewart FOT. MASOWE MORDERSTWO W LESIE KATYŃSKIM: SPRAWOZDANIE NA PODSTAWIE URZĘDOWYCH DANYCH I DOKUMENTÓW, KRAKÓW 1943, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ



a także o zaginięciu dużej liczby żołnierzy, szczególnie oficerów i podoficerów.

Szymanski skrupulatnie zbierał relacje świadków, wnikliwie badał dane dotyczące sowieckich obozów. Stosował metodę analizy porównawczej –

zestawiał dane z wielu źródeł, próbując zrekonstruować spójny obraz wydarzeń. – *Udałem się najpierw do Palestyny, a potem do Iraku i generał Anders, dowódca polskich sił zbrojnych [na Wschodzie], udostępnił mi wszystkie dokumenty i skontaktował mnie z wszystkimi swoimi ludźmi, którzy mieli jakiegokolwiek informacje na temat zaginięcia polskich oficerów i podoficerów w Rosji – tłumaczył przed Komisją Maddena, jako jeden z ponad stu przesłuchanych świadków.*

Wybuchowy materiał

Zebrane materiały Szymanski przekazał szefowi wywiadu wojskowego gen. George'owi V. Strongowi w dwóch tutech: 30 kwietnia 1943 roku i 29 maja 1943 roku. Treść raportu była wręcz szokująca, dowodziła bowiem, że za zbrodnią w Katyniu stali nie Niemcy, a Sowieci. – *Dołączone memorandum zawiera zbyt wybuchowy materiał, aby to przekazywać normalnymi kanałami, zatem wysyłam je bezpośrednio do pana – tłumaczył autor.* W nadesłanej dokumentacji znalazły się szczegółowe informacje o obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Jak wskazano, w trzech obozach NKWD przetrzymywano łącznie 15 490 polskich jeńców. Z tej liczby

ocalało jedynie około 360 osób (jeńcy przewiezieni do obozu w Griazowcu). Pozostałych 15 130 uwięzionych uznano za zaginionych. Szczególnie pomocne okazały się rozmowy z rotmistrzem Józefem Czapskim oraz porucznikiem Bronisławem Młynarskim – oficerami ocalałymi z obozu w Starobielsku. Obaj prowadzili w Armii Andersa poszukiwania zaginionych kolegów. – *Z masy zaginionych nie zgłosił się ani nie dał żadnego znaku życia nawet jeden człowiek – podkreślali w przygotowanym dla Szymanskiego „zestawieniu faktów”.*

W skład raportu weszły też sprawozdania ze spotkań z przedstawicielami Rządu RP na Uchodźstwie, relacje byłych sowieckich jeńców wojennych oraz cywilów ewakuowanych z ZSRS, a także kopie rozmów polskich przywódców przeprowadzonych ze Stalinem w Moskwie w latach 1941–1942. Całość uzupełniała dokumentacja fotograficzna. – *Specjalnie wybrałem zrobione przez siebie zdjęcia dzieci ukazujące ich stan, ponieważ jeśli dzieci wyszły z tego w takim stanie, to jest pewne, że dorośli prawdopodobnie ucierpieli jeszcze bardziej. Po drugie, nigdy w rozmowach dotyczących zaginięcia oficerów Rosjanie nie tłumaczyli się, że zostali oni pojmani przez napierających nazistów. Po trzecie, dlaczego Rosjanie nie wyjaśnili faktu, że brakuje piętnastu tysięcy oficerów, którzy zaginęli w Rosji? Po czwarte, polskie źródła podziemne przeprowadziły poszukiwania w Polsce i nie zdołały odnaleźć choćby jednego [z grona zaginionych oficerów], który by tam powrócił, a mieli wyjątkowo dobry kontakt z wszystkimi z nich. Rodziny nie otrzymywały żadnych listów po maju 1940 roku – tłumaczył amerykański oficer.*

Wszyscy oficerowie zginęli

Jak ustalił, wiosną 1940 roku rozpoczęły się masowe wywózki polskich jeńców w „nieznanym kierunku”. –



Komisja składająca się z jeńców wojennych z Wielkiej Brytanii, Kanady i USA ogląda dowody zbrodni. FOT. MASOWE MORDERSTWO W LESIE KATYŃSKIM: SPRAWOZDANIE NA PODSTAWIE URZĘDOWYCH DANYCH I DOKUMENTÓW, KRAKÓW 1943, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Likwidacja obozu w Kozielsku rozpoczęła się dnia 3 kwietnia 1940 roku, obozu w Starobielsku dnia 5 kwietnia, a obozu w Ostaszkowie dnia 6 kwietnia 1940 roku. Oficerów zabierano w małych grupach, od 65 do 260 osób (w każdym wagonie więziennym umieszczano 65 osób). Zapewniano ich, że zabrani zostaną do obozu przejściowego, a stamtąd pojadą do Polski – czytamy w raporcie. W wyniku tych zapewnień oficerowie z chęcią opuszczali obóz, licząc że już niebawem odzyskają wolność oraz zobaczą swych bliskich. Nie dziwi zatem, że wyjeżdżający „ubierali się bez zarzutu i nakładali najlepsze mundury”. Jeńców z Kozielska – pisał – wywożono na nieustaloną z nazwy stację w pobliżu Smoleńska (mowa o stacji Gniezdowo). Stamtąd kierowano ich bezpośrednio na miejsce zbrodni w Lesie Katyńskim, gdzie ginęli od strzałów w potylicę. „Wszyscy oficerowie zginęli” – nie miał wątpliwości Szymanski.

Zwraca także uwagę szczegółowy opis akcji „rozładowania” drugiego z tzw. obozów oficerskich NKWD: W Starobielsku, w dniu, kiedy rozpoczęto likwidację obozu, to znaczy 5 kwietnia 1940 roku, w obozie było około 4 tysięcy ludzi, [w tym] 8 generałów, ponad 100 pułkowników i podpułkowników, 230 majorów, 1000 kapitanów, 2500 poruczników i podporuczników, 380 lekarzy i około 30 podchorążych, oraz jakichś 90 cywiliów, głównie sędziów, prokuratorów i funkcjonariuszy administracji państwowej. Z tej liczby ocalało tylko 89 oficerów. Wysłano ich w dwóch grupach do obozu w Pawliszczew Borze lub wywożono indywidualnie w inne miejsca. Co się stało z zasadniczą częścią jeńców? Napisy na ścianach więziennych wagonów kolejowych oraz relacje oficerów, którzy ocalili, wskazują, że zawieziono ich w kierunku Charkowa. Jeńców ze Starobielska wysadzano tam i 1 maja 1940 roku utworzono wiele przejściowych obozów jenieckich.

Dalsza droga jeńców ze Starobielska wiodła prawdopodobnie na północ.

Najmniej informacji Amerykanin zebrał na temat obozu w Ostaszkowie: Udało się ustalić pewne fakty dotyczące przepływu jeńców tylko w odniesieniu do pierwszego okresu funkcjonowania obozu, to znaczy organizacji w Ostaszkowie wspólnego obozu dla oficerów i szeregowych, deportacji niemal wszystkich oficerów do Kozielska i sprowadzenia na ich miejsce podoficerów policji i straży granicznej (KOP). Nie wiadomo nic na temat okresu likwidacji obozu.

Makabryczna zbrodnia

Wiosną 1940 roku tysiące polskich jeńców padło ofiarą sowieckiego ludobójstwa i Szymanski miał tego pełną świadomość. Wątpliwości nie miał także sam generał Anders, który

Każdy transport więźniów lub deportowanych zmienia się w ruchomy cmentarz, wszystkie obozy na terenach północnych to żywe cmentarzyska, z których wracają tylko nieliczni

wyznał amerykańskiemu oficerowi: „Dla mnie jest jasne, że zbrodnię katyńską popełnili bolszewicy”.

Podczas przesłuchania przed Komisją Maddena autor raportu tłumaczył:

DANIEL FLOOD: Dlaczego – z militarnego punktu widzenia – Rosjanie chcieli zamordować piętnaście tysięcy oficerów?

HENRY SZYMANSKI: Nie byli w stanie przeciągnąć tych oficerów na swoją



stronę czy też na swoją ideologię. Nie mogli kontrolować tych oficerów.

DANIEL FLOOD: Czy do pomyslenia jest, aby Rosjanie chcieli zlikwidować korpus oficerski, który po zwolnieniu z obozów jenieckich mógłby stanąć na czele rewolucji na tyłach Rosjan?

HENRY SZYMANSKI: Tak.

DANIEL FLOOD: Jeżeli to wszystko jest prawdą i jeżeli Rosjanie są swego rodzaju ekspertami w tego typu postępowaniu, dlaczego pańskim zdaniem popełniliby taki błąd [że egzekucji dokonywano raptem] trzy kroki od polskiej granicy, w Lesie Katyńskim, gdzie ktoś, kto ma oczy otwarte, mógł natknąć się na to wszystko?

HENRY SZYMANSKI: Rosyjska tajna policja działa w taki sposób, że jest niemal całkowicie niemożliwe, by cokolwiek wydostało się z tego kraju.

Sowieci opanowali mordowanie „wrogów ludu” do perfekcji, dlatego zaplanowanie i sprawne przeprowadzenie likwidacji tysięcy polskich jeńców nie było – w warunkach stalinowskiego reżimu – czymś nadzwyczajnym. – *Zbrodnia dokonana przez bolszewików na polskich oficerach jest tak makabryczna, że w oczach Europejczyków wydaje się nieprawdopodobna, ale masowe mordy to częste zjawisko w Związku Sowieckim. Każdy transport więźniów lub deportowanych zmienia się w ruchomy cmentarz, wszystkie obozy na terenach północnych to żywe cmentarzyska, z których wracają tylko nieliczni. Wyśłanie skazańca do Workuty, na Półwysep Kolski, na Ziemię Franciszka Józefa, na Nową Ziemię, na Kołymę równa się wyrokowi śmierci* – konstatował twórca raportu.

Niewygodna prawda

Reakcja władz USA na Raport Szymanskiego była natychmiastowa – nałożono na niego klauzulę tajności i zabezpieczono w archiwum (został odtajniony dopiero podczas prac Komisji Maddena i włączony do akt sprawy). Szymanski otrzymał zakaz rozpowszechniania jego ustaleń. W grudniu 1943 roku Departament Wojny zarzucił mu nawet stronnictwo i zbyt dużą podatność na wpływy „antysowieckiej grupy” w Armii Andersa.

W rzeczywistości powód utajnienia raportu był znacznie prostszy. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania potrzebowały Związku Sowieckiego jako sojusznika w walce z III Rzeszą. Nagłośnienie prawdy o Katyniu mogło rozbić całą koalicję. Los Raportu Szymanskiego podzieliły też inne dokumenty wskazujące na odpowiedzial-

ność ZSRS za zbrodnię sprzed 86 lat. Jednym z nich był raport ppłk. Johna Van Vlieta – amerykańskiego oficera, który jako jeńiec wojenny był świadkiem niemieckich ekshumacji na miejscu sowieckich mordów z wiosny 1940 roku. Władze USA milczały także wówczas, gdy Stalin rozwijał koncepcję kłamstwa katyńskiego. W styczniu 1944 roku powołał do życia tzw. Komisję Burdenki, która orzekła, że polskich oficerów zamordowali... Niemcy po ataku na Związek Sowiecki. Tę kłamliwą wersję wydarzeń utrzymywano na Kremlu i w krajach satelickich przez długie lata. Dopiero w 1990 roku władze ZSRS oficjalnie przyznały, że zbrodnię z wiosny 1940 roku popełniło NKWD.

Tymczasem za Oceanem już w grudniu 1952 roku, za sprawą Komisji Maddena, potwierdzono słuszność us-

FOT. PAP



FOT. MASOWE MORDERSTWO W LESIE KATYŃSKIM. SPRAWDZANIE NA PODSTAWIE URZĘDOWYCH DANYCH I DOKUMENTÓW. KRAKÓW 1943. ZE ZBIORÓW BIBLIOTECI NARODOWEJ



taień Szymanskiego. Przewodniczący Ray J. Madden tak dziękował autorowi raportu z 1943 roku za zaangażowanie i współpracę: *Gdyby armia, marynarka wojenna i piechota morska złożone były z samych pułkowników Szymanskich, wówczas nikt by nie powstrzymał naszego kraju w tej bitwie z komunizmem.* ■

Wolałem być z tą wiedzą sam

O odkryciu grobów katyńskich przez Polaków

TEKST | Przemysław Budzich

Pierwsze informacje o ludobójstwie w Katyniu przekazała propaganda niemiecka w kwietniu 1943 roku, ale odkrycia masowych grobów dokonali Polacy na początku marca 1942 roku. Wśród osób, które rozpoznały pomordowanych żołnierzy, był poznaniak, robotnik przymusowy i późniejszy żołnierz Armii Krajowej – Teofil Dolata.

W 1942 roku Teofil Dolata został przymusowo wcielony do organizacji Todt i przydzielony do załogi Bauzugu 2005 – pociągu budowlanego remontującego uszkodzone w czasie działań wojennych odcinki tras kolejowych. Pociąg najczęściej znajdował się w niedalekiej odległości od frontu. Jego skład stanowiły trzy wagony towarowe ze specjalistycznym sprzętem oraz siedem wagonów osobowych. Wśród załogi byli pracujący pod przymusem Polacy, którzy pochodzili głównie z Wielkopolski, dobrze znający język niemiecki.

– Na trasie Mińsk-Smołeńsk, około 15 kilometrów przed Smoleńskiem, znajdowała się stacja Stare Batogi połączona torem kolejowym idącym łukiem ze stacją Gniezdowo. Nasz Bauzug przerobiony był z jednego furmana, przedziały miały po dwa łóżka, w składzie było kilka wagonów ze sprzętem. Pociąg stanął akurat pośrodku tego łuku. Dokładnie stąd widać było Las Katyński. Szła tam także szosa Smoleńsk-Orsza i wzdłuż niej było ogrodzenie. Nie było tam żadne-

go napisu *Katyń*, żadnej takiej stacji kolejowej, ale słyszałem nazwę lasów katyński i że tu jest *Katyń* – wspominał.

Praca robotników przymusowych nie była łatwa, ale Dolata nie mógł narzekać. Ciężka, fizyczna praca była rekompensowana żołnierskim wiktem. Warunki bytowe, choć Bauzug był w ciągłej drodze, były dobre. Odległość od frontu oraz duże znaczenie wykonywanych prac sprawiała, że pracownicy czuli się bezpiecznie: *Było nas czterdziestu dwóch przymusowo wcielonych do tego Bauzugu. Zaliczano nas do Wehrmachtu, otrzymywaliśmy wyżywienie i wyposażenie niemieckiego żołnierza frontowego. Byłem synem kowala, pracowałem ostrząc kilofy na polowej kuźni. Zazwyczaj tam, gdzie stawaliśmy miejscowa cywilna ludność próbowała nawiązać z nami kontakt. Mieliśmy trochę przydatnych dla nich produktów, nie mogłem powiedzieć, że nam zbywało, ale dzieliliśmy się. W Katyniu było inaczej. Ludność do nas nie przychodziła, nie mogliśmy żadnego człowieka spotkać, jak ktoś nas zobaczył – zaraz uciekał.*

Staliśmy tam chyba z półtora miesiąca. Zima była bardzo sroga, temperatura dochodziła do minus 40 stopni.

Dolata nie podejrzewał, że ludność z okolicznych wsi może być nieprzyjaźnie nastawiona do pracowników z Bauzugu. Brak kontaktu zrzucił na karb siarczystych mrozów. Zresztą pracownikom Bauzugu mróz także dawał się we znaki. Zmieniali się jak często mogli, aby ogrzać się przy rozgrzanej do czerwoności „kozie”. Dolata nie zdawał sobie jednak sprawy, że to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic sowieckich skłaniania mieszkańców pobliskich domostw do milczenia, zgodnie z zasadą „im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz”.

– Pewnego dnia, to był styczeń – zaczęło się robić ciepło. Ponieważ nasza kuźnia polowa często zadymiała wagon, postanowiliśmy przenieść ją na pole obok wagonu, żeby się nie trucił oparami i w spokoju ostrzyć kilofy i inne narzędzia. W pewnym momencie podeszła do mnie kobieta, miała około sześćdziesięciu lat, przywitała się po polsku i powiedziała: „Słuchaj pan, czy pan wie, że za tym



uśmiechnął i powiedział, że jak wojnę wygramy, to oni wrócą, bo siedzą u wroga. Drugiego dnia sytuacja się powtórzyła. W fartuchu przyniosła nam czapkę oficera polskiego. Miała dwie gwiazdki, czapka porucznika, do dziś pamiętam, że w środku był napis Włodzimierz i na imię miał chyba Władysław. Ponieważ nie chciałem wierzyć, że tutaj rzeczywiście rozstrzelali Polaków, to przyniosła czapkę, którą rzucił ktoś z samochodu wiozącego ich na miejsce zbrodni. Nie wiedziałem co mam z nią zrobić. Niemiec powiedział wtedy: „Idź z tą czapką do naszego szefa”. Tak zrobiłem, a on zabrał

Byliśmy przygotowani na najgorsze, wiedzieliśmy, że kolegów naszych spotkało nieszczęście, ale wiadomość, że zostali w tak haniebnym sposobie wymordowani, wzburzyła nas do ostateczności



plotem są pomordowani polscy oficerowie w czterdziestym roku. Rozstrzelani. Tam jest zamordowanych trzy i pół tysiąca oficerów polskich” – opowiadał Dolata.

– Spytałem ją skąd wie. Przecież trzy i pół tysiąca to jest masa ludzi, jeśli to prawda, to taki proces byłby bardzo czasochłonny. Zbulwersowana odwróciła się i odeszła. Przyjąłem tę wiadomość z lekkim uśmiechem. Pracujący obok kolega Niemiec spytał mnie o co jej chodziło i jak mu opowiedziałem, że według niej za tym plotem są pomordowani polscy oficerowie przez NKWD w 1940 roku, to się

tę czapkę i pojechał do Gniezdowa – dodał.

Niemcy początkowo nie uwierzyli w przekazane przez Polaków informacje. Jednak szybko zaczęli je analizować. Tymczasem robotnicy z Bauzugu postanowili dowiedzieć się więcej. – Poszliśmy we wskazane miejsce i odkryliśmy groby, najpierw majora, później kapitana, postaviliśmy tam krzyż. Za tydzień poszła druga grupa i postawiła drugi krzyż, ale nie pamiętam czy oni odkrywali kolejne groby. Tak wyglądało pierwsze odkrycie grobów. Stwierdzam tutaj uroczystie, że nie zrobili tego Niemcy – zaznaczył

Dolata, który po latach dowiedział się jak wyglądała procedura transportu i rozstrzeliwania więźniów i mógł połączyć ją z opowieścią przekazaną mu w 1942 roku.

Gdy 13 kwietnia 1943 roku rozgłosnie niemieckie ujawniły światu zbrodnię katyńską, Sowietci zaprzeczyli tym doniesieniom, zrzucili winę na hitlerowskie Niemcy, a na wieść o zwróceniu się przez polskie władze w Londynie do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zbadanie sprawy, zerwali stosunki dyplomatyczne z Polską. Nad tematem zbrodni katyńskiej zaciągnięto kurtynę kłamstwa. Jak po wojnie pisał generał Władysław Anders, który po doświadczeniach Sybiru doskonale znał sowieckie metody działania, w tym propagandowe kłamstwa: Dla mnie, który przez okrągły rok starałem się bezskutecznie wydestać od władz sowieckich wiadomość o kilkunastu tysiącach naszych jeńców, przeważnie oficerów, z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, było rzeczą jasną, że Niemcy w tym wypadku powiedzieli prawdę. Byliśmy przygotowani na najgorsze, wiedzieliśmy, że kolegów naszych spotkało nieszczęście, ale wiadomość, że zostali w tak haniebnym sposobie wymordowani, wzburzyła nas do ostateczności.

Tymczasem w Polsce Ludowej, Katyń był tematem niebezpiecznym, za którego ujawnianie – niezgodne z propagandą stalinowską – groziło więzienie, a nawet śmierć. – Po wojnie strach był. Bałem się chodzić po ulicy. Jak szedł za mną milicjant, to mnie strach ogarniał, czy czasem on nie wie o tym. Zdarzało mi się rozmawiać o tym z ludźmi, bo pracowałem na budowach, ale byłem zawsze poza systemem awansów i kariery, bo bałem się, że zawiść może spowodować ujawnienie mnie. Tak wtedy było, że Polak Polakowi... – podsumował Dolata. ■

Tekst powstał na podstawie notacji filmowej nagranej w Poznaniu w 2011 r.

Sprawa Igo Syma

i podziemny wymiar sprawiedliwości

Podziemny wymiar sprawiedliwości w okupowanej Polsce nie był wyłącznie narzędziem odwetu, lecz także próbą zachowania ciągłości państwa, które mimo utraty terytorium nie rezygnowało z egzekwowania prawa. Działające w ramach Polskiego Państwa Podziemnego sądy specjalne tworzyły system wyjątkowy, który łączył rygory konspiracji z odwołaniem do przedwojennych kodeksów. Wyroki zapadały w imieniu Rzeczypospolitej, a ich celem było karanie zdrady, agentury i działań godzących w podziemie oraz społeczeństwo.

TEKST | Norbert Nowotnik

Ranikiem 7 marca 1941 roku, o godzinie 7.10, trzech mężczyźni w cywilnych ubraniach stanęli przed drzwiami mieszkania na czwartym piętrze kamienicy przy ul. Mazowieckiej 10 w Warszawie. Byli to żołnierze zespołu bojowego „ZOM” kontrwywiadu Związku Walki Zbrojnej: ppor.

Roman Rozmiłowski ps. Zawada, kpr. Wiktor Klimaszewski ps. Mały oraz ppor. Bohdan Rogoliński ps. Szary, który ubezpieczał akcję. Drzwi otworzyła krewna Igo Syma, a gdy w przedpokoju pojawił się zaspany aktor, konspiratorzy upewnili się co do jego tożsamości. W odpowiedzi na pytanie

„Czym mogę panom służyć?” ppor. Rozmiłowski wypowiedział krótką formułę: „Masz, lotrze, za Polskę” i oddał strzał z pistoletu Vis. Sym osunął się na ziemię, a zamachowcy opuścili budynek, znikając w porannym ruchu ulicznym. Cała operacja trwała zaledwie kilkanaście sekund, stając się

pierwszą tak głośną egzekucją cywilnego kolaboranta, przed wojną szeroko znanego opinii publicznej.

Od gwiazdy sceny do symbolu zdrady

– „Zdrajca”, „kanalia”, „konfident”... Nie ma chyba we współczesnej polskiej prasie artykułu o Igo Symie, w którym nie padłoby jedno z tych słów. Nie pomógł pieśniarce Hance Ordonównie, kiedy trafiła na Pawiak, werbował Polaków szantażem i groźbami do antypolskiego filmu „Heim-



Ekipa filmu „Heimkehr” FOT. BUNDESARCHIV

kehr”, przyjaźnił się z gubernatorem Warszawy Ludwigiem Fischerem i jego żoną, był widywany w niemieckim mundurze... Lista przewinień Igo Symy jest długa, nie ulega też wątpliwości, że w oczach większości Polaków jego postępowanie było haniebne. Skreślono go z listy polskich aktorów i podkreślano austriackie pochodzenie, bo przecież on sam zadeklarował się w czasie okupacji jako folksdojcz. Negowano jego rolę w polskim teatrze i kinie, sugerując, że spędził w Polsce jedynie kilka lat swojego 45-letniego życia – podkreślił dziennikarz i pisarz Marek Teler we wstępie biografii Symy pt. „Upadek amanta”.

Karol Antoni Juliusz Sym, znany publiczności filmowej i teatralnej pod

pseudonimem Igo Sym, miał biografię równie barwną, co niejednoznaczna. Urodzony w Innsbrucku w rodzinie polsko-austriackiej, w okresie międzywojennym cieszył się statusem bōżyszczu warszawskich salonów i popularnego amanta filmowego. W czasie I wojny światowej służył na froncie włoskim w armii austro-węgierskiej, natomiast po odzyskaniu przez Polskę niepodległości walczył już jako żołnierz Wojska Polskiego w starciach o Śląsk Cieszyński. W polskim filmie zadebiutował w 1925 roku, a rok później przeniósł się do Wiednia, gdzie szybko wyrósł na jedną z największych gwiazd wytwórni Sascha-Film. Utrzymywał bliskie relacje z Marlene Dietrich, którą – jak wspominało – nauczył gry na muzycznej pile. Na przełomie lat 20. i 30. występował także w produkcjach niemieckich, grając u boku takich aktorek jak Lilian Harvey, Lil Dagover czy Olga Czechowa. Pod koniec 1931 roku powrócił do Polski i szybko stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci warszawskich teatrów rewiowych. Jego kariera, choć przygaszona po wprowadzeniu kina dźwiękowego ze względu na wadę wymowy (miał problemy z głoską „r”), nadal zapewniała mu rozpoznawalność i wygodne życie.

Igo Sym był jednocześnie postacią, której upadek moralny stał się dla polskiego podziemia symbolem najgorszego rodzaju zdrady – opartej na oportunistycznym i wyrzeczeniu się wspólnoty narodowej w imię osobistych korzyści. – Po wybuchu II wojny światowej Sym sprawiał wrażenie bardzo zaangażowanego w obronę stolicy. Dlatego dość trudno było uwierzyć w coraz częściej pojawiające się plotki o rozpoznaniu aktora w obcym mundurze z hitlerowską opaską na ramieniu. Do akcji wkroczył kontrwywiad Związku Walki Zbrojnej, otaczając aktora „opieką agenturalną” – podkreślił na portalu IPN Bartłomiej Jaworski, który przytoczył na ten temat mel-

dunki polskiego podziemia. – W październiku zgłosił się jako tłumacz. Obecnie pracuje w Reichsprp. [Reichsministerium für Volksaufklärung und Propaganda, czyli Ministerstwo Propagandy III Rzeszy kierowane przez Josepha Goebbelsa – red.], przemawiał przy otwieraniu kin. Wyrażnych dowodów współpracy z G-o [gestapo – red.] nie ma” – zaznaczono 19 kwietnia 1940 roku. Jednak w kolejnym raporcie czytamy: W sferach artystycznych powszechnie jest uważany na agenta G-o. (...) W czasie wizyt w urzędach (...) legitymował się zaświadczeniem G-o i pozdrowiał Niemców „Heil Hitler”. Na te okoliczności są świadkowie.

Sym – jak się okazało – po kapitulacji Warszawy w 1939 roku dość szybko zadeklarował narodowość niemiecką, podpisując Volkslistę i wykorzystując swoje przedwojenne znajomości do budowania pozycji w strukturach okupacyjnych. Jako dyrektor „Theater der Stadt Warschau” oraz kina „Helgoland” (przed wojną „Palladium”) przeznaczonego wyłącznie dla Niemców, stał się de facto animatorem nazistowskiej polityki kulturalnej w stolicy. Jego zdrada miała jednak znacznie mroczniejsze oblicze: Sym był aktywnym konfidentem Gestapo, co miało doprowadzić – według niektórych relacji – do uwięzienia m.in. popularnej pieśniarki Hanki Ordonówny. Przechadzał się po ulicach Warszawy w hitlerowskim mundurze lub z opaską ze swastyką, otwarcie szydząc z patriotycznych postaw dawnych koleżanek i kolegów.

Narodziny podziemnego wymiaru sprawiedliwości

Egzekucja Symy nie była aktem samowoli, lecz wynikiem działania sformalizowanego systemu sądownictwa podziemnego. Już na początku okupacji twórcy Służby Zwycięstwu Polski i Związku Walki Zbrojnej rozumieli, że warunkiem przetrwania konspira-

cji jest utrzymanie dyscypliny i karanie zdrady zgodnie z literą prawa. Początkowo powoływano sądy kapturowe, które jesienią 1941 roku wyewoluowały w Wojskowe Sądy Specjalne (WSS). System ten był unikatowy – jako jedyny w okupowanej Europie posiadał tak rozbudowaną strukturę i opierał się na procedurach dążących do rzetelności w ekstremalnych warunkach. Sądy te orzekały jako organy państwowe, kontynuując tradycję prawną II Rzeczypospolitej. – *Funkcjonowanie podziemnego wymiaru sprawiedliwości było jednym z elementów walki czynnej podejmowanej przez polską konspirację, nie zaś jedynie organizowaniem doraźnych form egzystencji społeczeństwa w celu biernego przetrwania lat wojny i okupacji. W tych trudnych warunkach bezwzględnej polityki okupanta, pogorszenia się warunków bytowania, stosowanych represji, u wielu Polaków ujawniały się cechy i postawy negatywne wymagające natychmiastowej reakcji i napiętnowania* – przypomniła badaczka tego tematu Edyta Kurkowska. Wojskowe Sądy Specjalne powoływano przy Dowódcy AK oraz komendantach okręgów, a w ich skład wchodził zawodowy sędziowie i prokuratorzy, często oficerowie rezerwy posiadający wysokie kwalifikacje prawnicze. Wojskowe Sądy Specjalne sądziły nie tylko żołnierzy podziemia za przestępstwa dyscyplinarne, ale także cywilów działających na szkodę organizacji i narodu. Co ważne, wykonywanie kar śmierci realizowano wobec „zdrajców i szantażystów”, ale także wobec szmalcowników denuncjujących ukrywających się Żydów.

Operacja wywiadowcza – infiltracja i dowody winy

Wydanie wyroku śmierci na osobę tak publicznie znaną jak Igo Sym wymagało zgromadzenia niezbitych dowodów. Zadanie to powierzono Roma-

nowi Niewiarowiczowi ps. Łada, aktorowi i reżyserowi, który jednocześnie był oficerem wywiadu ZWZ. Niewiarowicz, działając pod przykrywką pracy w jawnym teatrze „Komedia”, zdołał wkupić się w łaski Syma, co pozwoliło mu na monitorowanie kontaktów aktora z aparatem bezpieczeństwa III Rzeszy. W zasobie Archiwum IPN jest zeznanie Niewiarowicza złożone w 1946 roku przed sędzią śledczym Janem Sehnem, któremu udzielił obszernych informacji na temat Syma oraz zamachu. – *Pierwsze wiadomo-*

Sym – po kapitulacji Warszawy dość szybko zadeklarował narodowość niemiecką, podpisując Volkslistę i wykorzystując swoje przedwojenne znajomości do budowania pozycji w strukturach okupacyjnych

ści o Symie otrzymałem w konsulacie polskim w Budapeszcie. Funkcjonariusze konsulatu oświadczyli mi, że Sym znajduje się w Warszawie, pozostaje w bliskich stosunkach z władzami niemieckimi, że pracuje dla Niemców oraz, że jeszcze przed wybuchem wojny był szpiegiem na usługach niemieckich – zeznał po wojnie.

Niewiarowicz towarzyszył Symowi w urzędach, a nawet w siedzibie Gestapo w alei Szucha, zbierając dowody na jego szpiegowską działalność. Raporty „Łady” potwierdziły, że Sym legitymował się zaświadczeniem policji politycznej i aktywnie donosił na członków polskiego ruchu oporu. Rozpracowanie to trwało wiele miesięcy i stało się kluczowym materiałem dla prokuratora polskiego podziemia. Mi-

mo że Sym prawdopodobnie domyślał się zagrożenia – publicznie chwalił się, że dostał już trzy wyroki śmierci i zamierza „wiać do Wiednia” – ufał Niewiarowiczowi do samego końca.

Film „Heimkehr” jako akt oskarżenia

Bezpośrednim powodem, dla którego dowództwo ZWZ zdecydowało się na przyspieszenie egzekucji Syma, było jego zaangażowanie w produkcję filmu „Heimkehr” (z niem. „Powrót do ojczyzny”). Obraz ten, wyreżyserowany przez Gustava Ucicky’ego, był jednym z najbardziej jadowitych paszkwili nazistowskiej propagandy. Miał on uzasadnić agresję na Polskę, przedstawiając mniejszość niemiecką jako brutalnie prześladowaną przez Polaków, a fabułę filmu wykorzystano jako pretekst do stworzenia skrajnie negatywnego wizerunku Polski i Polaków. Wśród przedstawionych polskich postaci nie było ani jednej obdarzonej pozytywnymi cechami. – *Film jest wstrząsający i wzruszający zarazem. Stanowi wychowawczą lekcję dla całego narodu niemieckiego – zachwalał w swoich dziennikach Goebbels. Tymczasem Igo Sym osobiście zajmował się werbunkiem polskich aktorów do ról negatywnych, zmuszając ich szantażem lub wysokimi gażami do udziału w projekcie szkalującym ich własny naród. Podziemna Rada Teatralna oraz ZWZ uznały to za zdradę najwyższego stopnia, uderzającą w substancję duchową narodu. Zaangażowanie w „Heimkehr” przeważało szalę – Igo Sym stał się zbyt niebezpiecznym narzędziem w rękach maszyny propagandowej wroga, by mógł pozostać przy życiu.*

Procedura – prawny i moralny fundament wyroku

Proces w sprawie Syma odbył się zaocznie, co było standardem w warunkach konspiracji, gdzie wezwanie oskarżonego na salę było niemożliwe.

Wyrok zapadł 5 marca 1941 roku. Wykonanie wyroku planowano w ciągu trzech miesięcy, jednak po informacji przekazanej przez „Ładę” o przygotowywanym wyjeździe Syma do Wiednia zdecydowano się przyspieszyć realizację akcji.

Mimo uproszczonej procedury, zachowano podstawowe zasady procesowe: udział prokuratora przedsta-

musi być jawna i spektakularna: „Musi być jasne, że jego śmierć nie jest przypadkowa”.

Krwawy odwet gubernatora Fischera

Niemiecka reakcja na śmierć Syma była natychmiastowa i niezwykle brutalna. Gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer potraktował

także do mediów w III Rzeszy. Fischer ogłosił w Warszawie trzydniową żałobę – środek stosowany niezwykle rzadko. W czasie okupacji zdecydowano się na niego jeszcze tylko dwa razy: po klęsce pod Stalingradem w lutym 1943 roku oraz rok później po skutecznym zamachu polskiego podziemia na dowódcę SS i policji dystryktu warszawskiego Franza Kutscherę. W raporcie służbowym Fischera, skierowanym do władz Generalnego Gubernatorstwa, znalazł się również swoisty nekrolog Syma. Jak pisał gubernator: *Poświęcił on swe siły i zdolności w służbie dobrej sprawy, to znaczy brał żywy udział w dziele budowy Teatru Warszawy, przez co chciał pomóc artystom polskim w uzyskaniu pracy i chleba. Wzięto mu to za złe. Chcąc ugodzić w Niemcy, zastrzelono jego. Niemiecka odpowiedź była w tym wypadku twarda i skuteczna.*

Mimo straszliwych retorsji, dowództwo podziemia nie wycofało się z ogłoszenia wyroku. 13 marca 1941 roku w „Biuletynie Informacyjnym” opublikowano oficjalny komunikat: „7.03.1941 z wyroku Wojskowego Sądu Specjalnego Związku Walki Zbrojnej wykonano wyrok śmierci na aktorze Igo Symie”. Podkreślono, że była to pierwsza osoba skazana przez ZWZ za kolaborację, co miało nadać akcji rangę precedensu prawnego.

Likwidacja Syma stała się momentem zwrotnym dla podziemnego wymiaru sprawiedliwości. Utrwaliła ona przekonanie, że polskie państwo podziemne nie ogranicza się do oporu zbrojnego, lecz rości sobie także prawo do sądenia zdrady i kolaboracji. Choć cena w postaci życia zakładników w Palmirach była przedmiotem bolesnych debat, historycy podkreślają, że bez funkcjonowania sądów specjalnych polskie społeczeństwo byłoby skazane na rozpad struktur moralnych pod wpływem terroru i demoralizacji.



wiającego akt oskarżenia oraz wyznaczenie obrońcy. Dokumentacja wyroku była lakoniczna, obejmując jedynie datę, nazwisko skazanego i sentencję kary, co wynikało z wymogów bezpieczeństwa.

Zgodnie ze statutem WSS, kara śmierci za zdradę, szpiegostwo i denuncjację musiała być orzeczona jednogłośnie przez trzyosobowy skład sędziowski. Wyrok musiał zostać zatwierdzony przez komendanta odpowiedniego szczebla – w przypadku tak prominentnej postaci jak Sym, historycy są niemal pewni, że ostateczną decyzję podjął osobiście dowódca AK gen. Stefan „Grot” Rowecki. Podziemie odrzuciło propozycję Niewiarowicza, by otruć Syma, co mogłoby przejść niezauważone jako nagła choroba. Dowództwo uznało, że śmierć

zamach jako policzek wymierzony autorytetowi Rzeszy. Już 7 marca wieczorem na murach Warszawy rozlepiono obwieszczenia wprowadzające drastyczne represje. Na miasto nałożono kontrybucję w wysokości miliona złotych, zamknięto wszystkie teatry, kina i lokale rozrywkowe na miesiąc, a godzinę policyjną dla Polaków przesunięto na godz. 20. Najtragiczniejszą ceną, jaką Warszawa zapłaciła za wyrok na Syma, była egzekucja 21 zakładników w Palmirach 11 marca 1941 roku, gdzie wśród zamordowanych znaleźli się wybitni przedstawiciele nauki prof. Kazimierz Zakrzewski i prof. Stefan Kopeć.

Pogrzeb Igo Syma został przez władze okupacyjne wykorzystany jako szeroko zakrojone przedsięwzięcie propagandowe, którego przekaz dotarł

MARCOWE LISTY



Historię Polski określają często tzw. polskie miesiące – Czerwiec 1956, Marzec 1968, Grudzień 1970, Czerwiec 1976 czy Grudzień 1981. Wszystkie one są związane z buntami, protestami społecznymi lub pacyfikacją niepokornej części polskiego społeczeństwa. Wszystkie one wywoływały żywe reakcje. Ich doskonałym probierzem są listy, jakie Polacy po tych wydarzeniach wysyłali np. do Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. Nie inaczej było również po młodzieżowych protestach z marca 1968 roku, które niesłusznie ogranicza się do środowisk studenckich, ponieważ miały one miejsce również poza ośrodkami akademickimi.

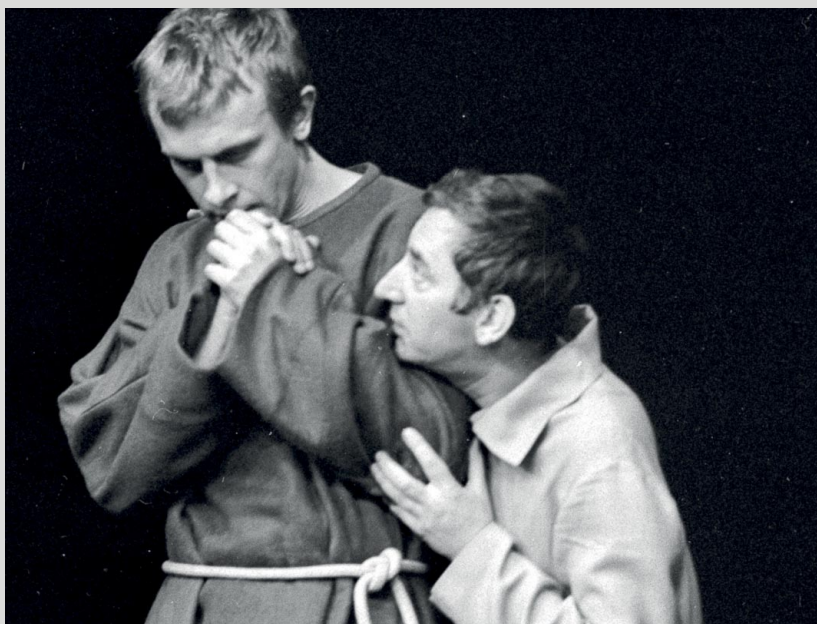
TEKST | Grzegorz Majchrzak

Szczególnie silnym echem odbiły się wydarzenia w stolicy, zwłaszcza te, które rozegrały się na Uniwersytecie Warszawskim i w jego okolicach. Wyrazem tego były 193 listy, które w dniach 13–21 marca zostały nadesłane do Komitetu ds. Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja Polska”. Korespondencja ta była zresztą w zdecydowanej większości ano-

nimowa – 122 nadawców nie zdecydowało się, w obawie przed potencjalnymi represjami ze strony peerelowskich władz, ujawnić swojej tożsamości.

Napływały one z całej Polski, a najwięcej, bo 32, z Warszawy. Nieco rzadziej nadsyłało je z województwa katowickiego – 25. Najwięcej anonimów napisano z kolei w województwach

krakowskim, zielonogórskim, nieco mniej w województwie olsztyńskim oraz w stolicy. Z kolei zdecydowanie najczęściej pod nazwiskami pisały osoby zamieszkałe w województwie bydgoskim, a także kieleckim i opolskim. Listy te różniły się też w zależności od tego, kiedy zostały nadane. W ocenie analizujących je pracowników Biura Listów Komitetu ds. Radia i Telewizji



30 stycznia 1968 r. na polecenie władz partyjnych zdjęto z afisza przedstawienie „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Wieczorem przed pomnikiem Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu doszło do protestów studentów, które stały się bezpośrednią przyczyną Marca '68 FOT. PAP

pierwsze z nich – „z reguły anonimowe” – były „utrzymane w tonie agresywnym”. Z kolei późniejsze miały być „listami spokojniejszymi”, a ponadto „dominowało w nich raczej oburzenie na studentów”. Natomiast ostatnią ich partię stanowiły ponownie listy „agresywne”, a ponadto „często nawet wulgarne”.

Stanowcze nie chuliganom!

Tyle suchej statystyki. Czas przejść do samych listów. Trzeba też od razu uczciwie powiedzieć, że niestety nie znamy treści wszystkich listów nadesłanych w przywołanym wcześniej okresie do Polskiego Radia oraz Telewizji Polskiej. W specjalnie przygotowanym na ich podstawie biuletynie wewnętrznym (wysyłanym m.in. do przywódców partii i państwa) zamieszczono jedynie część z nich – najprawdopodobniej te, które uznano za najbardziej reprezentatywne. Przy czym pominięto całkowicie te najbardziej agresywne czy uznane za wulgarne. Możemy jedynie tego żałować, gdyż byłyby one dziś doskonałym świadectwem emocji społecznych z okresu młodzieżowego buntu 1968 roku.

Na początek warto przytoczyć te zdecydowanie rzadsze, potępiające zachowanie studentów oraz zawierające wsparcie dla ludowej władzy. I tak np. autor, który przedstawił się jako 39-letni Józef Sapkowski – bezpartyjny fotograf z Tomaszowa Lubelskiego

Pragniemy usłyszeć poprzez środki masowego przekazu przedstawianie faktów zgodnie z prawdą

– pisał o „zwykłych chuligańskich wybrykach studentów (jakie często spotykamy w innych państwach)” czy też „studenckich ekscesach”, które zostały niesłusznie potraktowane przez kierownictwo Komitetu Warszawskiego PZPR jako „niezwykłej wagi wydarzenie polityczne”. Oceniał też, że „można było załatwić i potraktować całą sprawę jako wybryk chuligański, do którego uśmierzenia były wyłącznie

uprawnione organa MO i ORMO”, nie zaś wysyłać na Uniwersytet Warszawski „obstawę robotniczą”. I dodawał: „Gdyby nie pomogły perswazje rektorów – od razu weszłyby na arenę milicyjne pałki”, a wówczas – jego zdaniem „niezdecydowani studenci odsunęliby się od nieodpowiedzialnych prowodyrów”. Był zdecydowanie negatywnie nastawiony do protestujących, pisał o nich jako o „synalkach ministrów” oraz „córeczkach cenzorów i innych redaktorów”, których „chleb z masłem kłął w zęby”. – *Na zakończenie proszę – jako jeden z wielu – przemówcie do sumienia naszych sędziów! Niech dadzą rozrabiakom taką nauczkę, aby innym – na przyszłość – odechciało się podobnych ekscesów!* – pisał, a swoje stanowisko uzasadniał w nader barwny sposób: *Nie jestem zwolennikiem rządów „silnej ręki”, ale wyrzucanie z uniwersytetu młodzieży negatywnie ustosunkowanej do polityki naszego państwa jest konieczne, oznacza bowiem tyle, co pozbycie się jadowitego węża z własnego łona.*

Chuligani do łopaty!

Z kolei inny krytykujący protestującą młodzież – Włodzimierz Lubiński z Rzeszowa, zresztą – jak sam pisał – ojciec studenta, stwierdził, że popiera hasła załogi Fabryki Samochodów Osobowych na warszawskim Żeraniu: *1) Więcej dzieci robotników i chłopów na wyższe uczelnie. 2) Oczyszczyć partię z syjonistów.* Po czym dodawał: *Domagam się, aby straty wyrządzone podczas incydentów wyrównali zatrzymani chuligani lub rodzice, którzy będą mieli „z czego” je wyrównać, ponieważ ich tatusiowie są bardzo dobrze sytuowani.* I apelował do władz: *Więcej radykalnych środków, aby skończyć z wandalizmem. Spraw nie kierować do kolegów, lecz do prokuratury. Wyciągać surowe wnioski w stosunku do „tatusiów”.* Również Mirosław Pietkiewicz z Łodzi wzywał,

aby „po ostatnich chuligańskich ekscesach” przykładnie ukarać rozwydrzoną młodzież. Stwierdzał: Ci wszyscy, którzy nie chcą się uczyć, nie chcą pracować, a tylko szukają okazji do burdy, do zwady, do „draki”, jak się to pieszczotliwie określa, muszą znaleźć to, czego oczekują – surowość prawa, twardą rękę i ani cienia pobłażliwości. I dodawał: Czas najwyższy wprowadzić obowiązek pracy, a dla tych, którzy nader często lubią wchodzić w kolizje z prawem obozu pracy przymusowej. Niech poznają twardą szkołę życia.

To jest robota żydowska

Wśród popierających ludową władzę i potępiających protestującą młodzież



Na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego odbył się protestacyjny wiec, na którym zebrało się kilka tysięcy studentów FOT. PAP



Media kłamią!

Zdecydowana większość piszących zajmowała jednak odmienne stanowisko i popierała – oczywiście zazwyczaj anonimowo – protestującą młodzież.

Czas najwyższy wprowadzić obowiązek pracy, a dla tych, którzy nader często lubią wchodzić w kolizje z prawem obozu pracy przymusowej

znajdowali się również nadawcy, którzy nie mieli odwagi podać swojej tożsamości. Jednym z nich był anonimowy nadawca z Brodnicy, który krytykując studentów mających – jego zdaniem – „raj na ziemi” winą za Marzec '68 obarczał Żydów. W jego liście – będącym również donosem na jednego z pracowników Ministerstwa Komunikacji – widoczny był zresztą antysemityzm. – *Ale to robota pasażerów, którzy polski chleb jedzą i za*

to psocą. To jest robota żydowska, Żydzi w Polsce się panoszą – pisał. Nie on jeden, wtórował mu „Kościuszkowiec” z Rybnika, który stwierdzał: *Stuchając radia, oglądając telewizję i czytając prasę w sprawie awantur na Uniwersytecie Warszawskim, stwierdzam jedno, że wśród awanturników, nie znalazłem ani jednego nazwiska polskiego, prócz „Kowalski”, „Kamiński”.*

I tak np. autor listu nadanego z Katowic, który podpisał się jako „Patriota”, stwierdzał: *Całe nasze społeczeństwo zostało wzruszone zajściem studentów warszawskich, którzy prawnie i słusznie uczestniczyli w wiecu zorganizowanym do osiągnięcia słusznego celu. Jak przy tym dodawał: Prasa i radio nie podaje całkowitej prawdy. Studenci warszawscy zostali brutalnie, ordynarnie, jak za czasów sanacyjnych, stłumieni*”. Pisał też – dość

tajemniczo – „wolność i niezależność znajduje się na końcu pały milicyjnej”. Z kolei anonimowy nadawca listu z Gdańska zwracał się do peerelowskich władz: *Należy ze studentami rozmawiać, a nie ogłaszać w teczce przyniesione rezolucje, potępiające studentów, a do dziennikarzy apelował, wykazując się naiwnością: Zróbcie coś, wpłyniecie na władze, żeby porozumiały się ze studentami, przecież oni tak dużą nie chcą. Trochę swobody i więcej wolności.*

Brawo dla demonstrantów

Zdarzali się również prawdopodobnie – o ile podali prawdziwe nazwiska i adresy – odważniejsi autorzy, opo-

myślący. Już niejednemu to cygaństwo zbrzydło i ta dyktatura. Tylko nikt nie może się ruszyć. Tak jest trzymany za mordę. Jak przy tym zauwa-

Mam wielki żal, a wraz ze mną dużo ludzi, do prasy i radia, że nie podało prawdziwych zdarzeń wypadków. Że nas karmi kłamstwami i fałszywą propagandą

Każdy obywatel ma prawo do zajmowania swojej pozycji i stanowiska politycznego

Z kolei Tadeusz Szerszeń i Eugeniusz Maczulski – dwaj księża z miejscowości Rudka w powiecie Bielsk Podlaski – wysłali nawet do Polskiego Radia specjalne oświadczenie, naiwnie licząc na jego upowszechnienie. Stwierdzili m.in., że „obraźliwą rzeczą jest naganianie studentów polskich do nauki sloganami hasel szeroko kolportowanych na wiecach” w rodzaju „studenci do nauki”. Nazywanie protestujących, których było – ich zdaniem – tysiące, „chuliganami” uznawali z kolei za niesłuszne i krzywdzące. Jak przy tym dodawali: *Uważamy, że każdy obywatel ma prawo do zajmowania swojej pozycji i stanowiska politycznego według własnej koncepcji. Domagali się rzetelnej informacji w mediach: Dlatego pragniemy usłyszeć poprzez środki masowego przekazu przedstawianie faktów zgodnie z prawdą. Prosimy udostępnić prasę, radio, telewizję studentom, aby oni mogli swobodnie wypowiedzieć się, by mieli możliwość własnej obrony. Zaś swoje oświadczenie kończyli stwierdzeniem: Tylko w atmosferze wolności i dobrowolności studenci mogą kończyć studia i jakiegokolwiek przymuszanie do tego siłą obraża godność ludzką.*

Chcemy prawdy w mediach!

Prowadzoną w peerelowskich mediach nagonkę propagandową na protestującą młodzież krytykował z kolei autor podpisujący się jako Stanisław Nowak z Warszawy. – *Mam wielki żal, a wraz ze mną dużo ludzi, do prasy i radia, że nie podało prawdziwych zdarzeń wypadków. Że nas karmi kłamstwami i fałszywą propagandą. Niektóre fakty przemilczą, inne przekręcą lub wyolbrzymią (...). Dlaczego prasa i radio nie raczyło podać, choć już całe społeczeństwo wie, że podobne demonstracje i wiece studenckie odbyły*



Na znak protestu przeciwko represjom wobec kolegów z Uniwersytetu Warszawskiego studenci Politechniki Warszawskiej okupują Gmach Główny swojej uczelni FOT. PAP

wiadający się po stronie protestujących w Marcu '68. Na przykład nadawca przedstawiający się jako Adam Dudek z Grudziądza pisał: *Brawo dla demonstrantów – studentów warszawskich, którzy wnoszą głos o prawdę i sprawiedliwość społeczną. A biada tym, którzy by chcieli to zatuzować lub przekręcić. Po czym dodawał: Otóż nie sami studenci chcą widzieć sprawiedliwy ustrój, ale także robotnicy, chłopci i w ogóle cały naród zdrowo*

żał: Jeżeli dzieje się coś nowego w krajach kapitalistycznych, to wy zaraz wszystko wiecie dokładnie, dlaczego i tak jest i co tam się działo i zaraz i zdjęcia w gazecie są, ale jak w Warszawie studenci demonstrowali swoje niezadowolenie, a Ormowcy i Milicja bili pałami studentów, tego nie było w gazetach, chociaż fotoreporterzy byli miejscu (...). Czy wy myślicie, że ludność jest ślepa i nie wie, co się dzieje i jak powinno być?

się i odbywają we wszystkich uczelniach w całym kraju? Dlaczego został wydany zakaz wystawiania inscenizacji „Dziadów”? Dlaczego prasa i radio nie podało, że w dniu 11 marca milicja użyła gazów łzawiących? (...) Całe społeczeństwo ma prawo domagać się, aby prasa i radio podawały praw-

I tak np. autor, który podpisywał się jako J. Jutkiewicz i prawdopodobnie mieszkał w okolicy Siemiatycz stwierdzał: „Nie na takim tle on się rozgrywał, jak to podaje nasza wszechpotężna prasa, radio i telewizja”. Mediom zarzucał pisanie nieprawdy, a nawet „sianie zamętu”. A także wmawianie

socjalizmu, ale prawdziwego opartego na prawdzie, a nie na fałszach.

Propaganda skuteczniejsza, niż w Czerwcu '56

Na koniec warto pokusić się o zestawienie opinii wyrażanych w listach po Marcu 68 z tymi po innych polskich – i nie tylko polskich – kryzysach. Było ich przede wszystkim zdecydowanie mniej niż np. przed 12 laty po poznańskim Czerwcu '56. Były one też zdecydowanie mniej korzystne dla komunistycznych władz – w 1956 roku jedynie 10 proc. listów zawierało potępienie protestu w stolicy Wielkopolski oraz jego uczestników, zaś 80 proc. oskarżenie pod adresem władz „o bezdusność, biurokrację, defensywność”, a kolejnych 10 proc. było wręcz pisanych „z pozycji wrogich”. Z kolei kilka miesięcy po Marcu '68 doszło do inwazji wojsk Układu Warszawskiego (w tym ludowego Wojska Polskiego) na Czechosłowację. W tym przypadku listów było – być może ze względu na kończące się wakacje – ponad dwa razy mniej niż niespełna pół roku wcześniej. Co ciekawe – mimo akcji propagandowej peerelowskich władz – jedynie 25 osób miało wyrazić swoje poparcie dla „bratniej pomocy”, zaś pozostałych 68 swą dezaprobatę. W tej drugiej grupie znalazły się również – jak stwierdzano – „niewybredne w formie głosy wrogie”.

Można zatem powiedzieć, że ocena Marca '68 – choć generalnie z punktu widzenia władz PRL niekorzystana – była i tak lepsza niż w innych, wspomnianych przypadkach. Być może było to skutkiem dłuższej niż w innych przypadkach kampanii, głównie zresztą antysemickiej. Tym niemniej oczywistym jest, że Polacy po Marcu '68 zdecydowanie bardziej opowiedzieli się po stronie protestujących niż rządzących krajem komunistów. ■

Dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Wiec poparcia dla antysyjonistycznej polityki partii w hucie Warszawy po protestach marcowych FOT. PAP

dę, podawały fakty prawdziwe, a nie wypaczone i poprzekęcane. Czyżby to była tajemnica państwowa? Czy też godzi to w interesy klasy robotniczej i Władzy Ludowej? – pytał.

Swój list kończył stwierdzeniem optymistycznym, ale chyba nieco na wyrost: *Jestem przekonany, że większość dziennikarzy, którzy teraz muszą fabrykować te brednie, przez co wypaczają prawdziwy sens wydarzeń, gdyby tak mogli, to przyłączyliby się do studentów w całym kraju i domagali się by się razem z nimi – więcej swobód demokratycznych i poszanowania Konstytucji PRL. Nie on jeden oczywiście zauważał, że polska prasa wypaczała obraz Marca '68 – to chyba był najczęstszy motyw poruszany w listach, w których wspierano protestujących i krytykowano rządzących.*

Ale to robota pasożytów, którzy polski chleb jedzą i za to psocą. To jest robota żydowska, Żydzi w Polsce się panoszą

swoich kłamstw robotnikom i chłopom, niesłusznie – jego zdaniem – uważanym przez oświeconych „panów” z kontroli prasy i radia za „ciemnych”. Na koniec zaś deklarował: *Nie jestem ani ja, ani podpisani niżej rolnicy, przeciwnikiem socjalizmu, Władzy Ludowej. Ale ta Władza Ludowa i ten wywalczony przez nas wszystkich socjalizm powinny być prawdziwą władzą ludową – demokratyczną i przemysłową, a nie nałożoną przymusem (...). Chcemy władzy ludowej –*



Żołnierz atleta

Z dziecka słabego, chorowitego i zagrożonego gruźlicą, któremu rodzice zabraniali wysiłku fizycznego, wyrósł na człowieka, który podczas pokazów rozrywał palcami arkusze blachy, prostował podkowy oraz skręcał w ornamenty kilkudziesięciokilogramową żelazną sztabę – opowiada o swoim ojcu Rajmund Niwiński.

W jakiej rodzinie wychował się pana ojciec?

Urodził się w rodzinie o szlacheckich korzeniach i dużych tradycjach patriotycznych. Jego ojciec był legionistą i żołnierzem 1920 roku, dziadek powstańcem styczniowym, odznaczonym Krzyżem Virtuti Militari. Z kolei prapradziadek był żołnierzem Księstwa Warszawskiego, brał udział w wyprawie Napoleona na Moskwę i kampanii 1813 roku w Niemczech. Mamy

w genach krew szwedzką, francuską i tatarską.

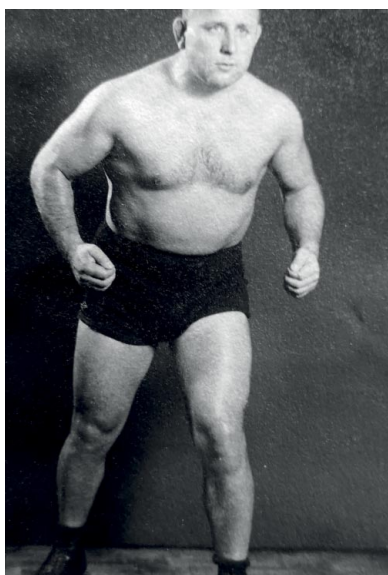
Dlaczego mały Rajmund postanowił zostać najsilniejszym chłopcem w Polsce?

Był dzieckiem słabym i często chorował, więc rodzice zabraniali mu aktywności fizycznej. Mając dwanaście lub trzynaście lat poszedł na występ gnącego sztaby żelaza objazdowego siłacza. Wrócił do domu z mocnym

postanowieniem, że chce zostać profesjonalnym atletą. W bibliotece ojca znalazł podręcznik pioniera kultury styki Eugena Sandowa i zaczął trenować według proponowanych w niej ćwiczeń – sam na strychu w tajemnicy przed rodzicami. Korzystał też z książek joginów ucząc się jak kontrolować ciało poprzez silną wolę. Popełniał mnóstwo błędów przyplacając je licznymi kontuzjami. W wieku czternastu lat dodatkowo zaintereso-

Rajmund Telesfor Paprzyca Niwiński, żołnierz września 1939 roku, partyzant, m.in. w oddziale mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, dzięki swojej niezwykłej sile, wytrwałości i hartowi ducha stał się jednym z najsilniejszych ludzi w Polsce. Jako Rajmondo Aldini wykonał ponad 1200 pokazów, podczas których wyginał gwoździe, giął blachę i łamał końskie podkowiny. Za zasługi otrzymał Order Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

wał się boksem, który później stał się sposobem na zarabianie. Tata, po wyjeździe swojego ojca do Kanady, zo-



spektyw. Myślał nawet o tym, żeby zaciągnąć się do walk w Hiszpanii w 1936 roku.



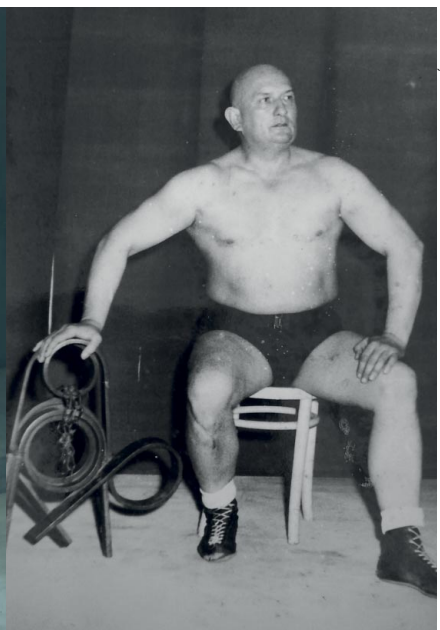
stał sam z mamą. Był w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Z czasem został zawodnikiem Klubu Sportowego „Wisła” i właśnie dzięki walkom bokserskim utrzymywał rodzinę. Za wygraną dostawał 35 zł, a za przegraną 25 zł. Stoczył 105 walk bokserskich w wagach od średniej do ciężkiej. W 1947 roku zdobył trzecie miejsce w wadze ciężkiej w barwach „Wisły” w dźwiganiu ciężarów. Odnosił również sukcesy w rzucie młotem. W 1956 roku zdobył 6 miejsce w mistrzostwach Polski. Był też niespokojną duszą. Miał epizod cyrkowej wędrowniki po kraju. Kochał sport, ale marzył o wyjeździe z Zawiercia, w którym było ogromne bezrobocie i brak per-



Kiedy trafił do wojska?

Został powołany w wieku 22 lat. W przeciwieństwie do wielu innych nie podzielał optymizmu o wygranej z Niemcami. Po przegranej wojnie obronnej Polski i rozbiciu Armii Kraków, walczył w oddziale kpt. Stanisława Lisa-Błońskiego, który też z czasem uległ rozsypce. W listopadzie trafił do oddziału mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala”, pełniąc tam rolę kuriera i łącznika. Walczył w boju pod Huciskiem. Hubalczyki rozbili wówczas 51. batalion niemieckiej policji porządkowej, zadając wrogowi ciężkie straty (około 100 zabitych i rannych) i zmuszając do odwrotu. Był świadkiem śmierci „Hubala” pod Anielinem. Później walczył w oddziale Franciszka Głowacza-Lisa, następnie Kazimierza Aleksandrowicza ps. Huragan i w oddziale AK „Maryśka” Pionki i kpt. Władysława Molendy ps. Grab. Został dwukrotnie ranny. Wojnę skończył w stopniu porucznika.

Podczas służby w Krakowie poznał swoją żonę Józefę, łączniczkę ZWZ-AK, z którą działał w specjalnej siatce ratującej precjoza z Wawelu, m.in. porcelanę z herbami polskich królów, którą Niemcy tłukli i zastępowali swoją, ze swastyką. Pamiętam jak



FOT. ARCHIWUM RODZINNE RAJMUNDA NIWIŃSKIEGO (4)

UWAGA



UWAGA

Dnia 195 r. o godz. ... w sali ...

odbędzie się występ artystyczny znanego siłacza,
ucznia byłego mistrza świata **ZBYSZKA CYGANIEWICZA**

RAJMUNDA - ALDINIEGO

który zademonstruje ciwugodzinny program
swej siły i zręczności

14 **NUMERÓW**



14 **NUMERÓW**

Człowiek o stalowych palcach przed którym uginają się
najgrubsze szlaby żelaza

Program ramowy

CZEŚĆ I	CZEŚĆ II
1. Wykonanie ze szlaby żelaznej ornamentu	1. Rozrywanie rąk przez 14 amatorów
2. " " " " sprzęgu	2. Wykonanie podkopy w palcach ze szlaby żelaznej
3. " " " " bransolety	3. Giecie szlab żelaznych w sztach, na płynie 1 m karku
4. " " " " pas Samsona	
5. Wykonanie ze szlaby żelaznej podkopy na karku	
6. Japońska petla	
7. Darcie blachy 2 mm grubości	
8. Skręcanie w palcach gwóźdź ufnala na swiderok	

Ceny miejsc zł. Bilety już są do nabycia w ...

a w dniu występu sprzedaż biletów na dwie godz. przed rozpoczęciem imprezy w ...

ORGANIZACJA T. K. S.

ojciec opowiadał o kobietach, które udając ciężarne wynosiły ją w każdy możliwy sposób, na brzuchu, pod spodnicami. Niestety w 1944 roku Józefa została aresztowana i poddana brutalnemu śledztwu – była torturowana, zerwano jej wszystkie paznokcie. Z więzienia Gestapo w Końskich odbił ją oddział mjr. Antoniego Hedy-Szarego.

Jak ojciec trafił do niemieckiej niewoli?

Wracając z wojny zastrzelił niemieckiego żandarma. Już w następnej wsi został wydany przez miejscowego chłopca. Działo się to dokładnie w tym samym rejonie, w którym jego dziadek został wydany Kozakom w czasie

powstania styczniowego. Ojciec był sądzony przed polowym sądem niemieckim, który był parodią normalnego procesu. Dostał wyrok śmierci. Przed „czapą” uciekł w ostatniej chwili. Dysponując ogromną siłą fizyczną znokautował strażnika i przeskoczył przez mur. Po wielu perturbacjach wrócił do rodzinnego Zawiercia. Tam dowiedział się, że szukało go Gestapo. Wtedy podjął decyzję o przekroczeniu wraz z rodziną granicy Guberni i Rzeszy.

Jakie życie wiódł po zakończeniu wojny?

Świetnie się odnalazł na tzw. ziemiach odzyskanych. Zamieszkał pod Kamienną Górą na obecnym Dolnym

Śląsku, gdzie jako osadnik wojskowy dostał od gminy na własność poniemieckie gospodarstwo. Odbudował je ogromnym kosztem, nie tylko finansowym. Wiódł spokojne życie rolnika. Niestety w 1950 roku przypomnieli sobie o nim ubecy i wszystko zostało mu odebrane. Rozpętali na ojca, byłego akowca, dziką nagonkę. Pomimo tego, że ujawnił się w Urzędzie Bezpieczeństwa w 1947 roku i tak nie dano mu spokoju. Podburzano przeciwko niemu okolicznych mieszkańców, rozpowszechniano kłamstwa o jego działalności wojennej. W pewnym momencie przyszła otwarta propozycja od bezpieki: „Panie Niwiński może pan siedzieć na tym gospodarstwie, jeszcze Pana dzieci i wnuki mogą je prowadzić, ale Pan tu chodzi, obserwuje. Nawet nie musi pan do nas przyjeżdżać, wystarczy raz w miesiącu wrzucić kopertę do skrzynki, o której tylko my wiemy”. Próbowano zmusić go do współpracy i donoszenia w różny sposób np. kosztem dzieci, które były szykanowane i poniżane.

Musieli się wyprowadzić...

Ojciec się oburzył i od razu powiedział, że nie zrobią z niego szpicla za żadne skarby. I wtedy usłyszał, że w takim razie musi się stąd wynieść. Jako były akowiec został uznany za wroga Polski Ludowej. Wyrzucili ich z gospodarstwa. Cała rodzina, wraz z mamą ojca przeniosła się do PGR-u, w którym tata został kierownikiem tuczarni. Potem mieszkali w innych miejscach, z których też ich prześledzono. Żona taty nie wytrzymała psychicznie napięcia i odebrała sobie życie osierocając pięcioro dzieci. W końcu trafił do Boguszowa. Udało mu się znaleźć pracę. Niestety po kilku miesiącach znowu rozpętała się nagonka i znów go zwolniono. Został bez środków do życia, zdesperowany, z matką i pięciorgiem dzieci na utrzymaniu.



Mural Rajmunda Paprzycy Niwińskiego na ścianie przy domu Pl. Odrodzenia nr 5A w Boguszowie-Gorcach FOT. ARCHIWUM RODZINNE RAJMUNDA NIWIŃSKIEGO

13 lutego 2026 roku zastępca szefa UdSKIOR Michał Syska, podczas uroczystości upamiętniających Rajmunda Niwińskiego w Boguszowie-Gorcach, odznaczył Medalem „Pro Patria” Sławomira Juszczaka, autora i fundatora pomnika por. Rajmunda „Paprzyca” Niwińskiego. Pomnik odsłonięto w 2021 roku. W swoim przemówieniu zastępca szefa UdSKIOR przypomniał, że Rajmund Niwiński był nie tylko żołnierzem, lecz także wybitnym sportowcem. – *Warto przypominać te lokalne historie i oddawać hołd osobom takim jak porucznik Rajmund „Paprzyca” Niwiński oraz tysiącom innych żołnierzy i żołnerek Armii Krajowej w całej Polsce* – podkreślił.

Powoli niszczyli jego życie...

Mieszkał w Kamiennej Górze, ale co trzeci dzień był wzywany na przesłuchania do Wrocławia. Jechał pociągiem, tam przesłuchiowano go przez 7-8 godzin, kazano pisać szczegółowy kilkunastostronicowy życiorys. Wystarczyło, że zmienił kolejność zdań i musiał tłumaczyć dlaczego. Jeśli przesłuchujący ubek wychodził na kawę pozostali kazali mu stać przy ścianie z rękami na karku. Nie był bity, ale dręczony i niszczone psychicznie. Nie aresztowano go z kilku przyczyn m.in. dlatego, że był cenionym trenerem boksu Gwardii Wrocław. Wciąż jednak groziła mu śmierć głodowa, jego sytuacja finansowa była dramatyczna.

Pomógł mu szczęśliwy zbieg okoliczności...

Wziął udział w występie atlety Janusza Sarneckiego, który wzywał innych do rywalizacji. Na scenie ojciec poprosił, żeby Sarnecki zgiął dwie sztaby, które dostał od kowala. Zgodził się, ale postawił warunek, że zrobi to za kotarą. Kiedy zorientowano się, że jest to niemożliwe, zaproponowano ojcu dwa tysiące złotych za opuszczenie sali. Odmówił. Wtedy Sarnecki próbował tatę ośmieszyć sugerując, że to stal, a nie żelazo. Wtedy ojciec wyszedł na scenę i po chwili kładąc sztabę na karku zrobił z niej podkowę. Pokonał go i za zwycięstwo otrzymał tysiąc złotych nagrody, to była bardzo duża premia. Pieniądże pozwoliły mu na

kilka tygodni bezpiecznego życia. Po-tem napływały kolejne propozycje, a ojciec je przyjmował, bo innej pracy ze względu na swoją przeszłość nie mógł dostać. Przybrał pseudonim Rajmondo Aldini i przez 18 lat (od 1956 do 1974 roku) wykonał 1210 dwugodzinnych pokazów. Poruszał się pociągami (nie miał prawa jazdy) zawsze z dwiema ogromnymi walizkami. Na pokazy przychodziły tłumy. Stał się znany i rozpoznawany na ulicy.

Jak wyglądał występ Rajmondo Aldiniego?

Podczas pokazów ojciec rozrywał palcami arkusze blachy, prostował podkowy oraz skręcał w ornamenty kilkudziesięciokilogramową żelazną sztabę. W finale występu kładł na szyję stalową szynę. Z obu jej stron zawieszano się dziesięciu mężczyzn. Kręgosłup taty przyjmował nacisk do 1,5 tony. Pokaz kończył się gdy szyna wyginała się w łuk. Podczas każdego z występów tracił od 2 do 2,5 kg wagi i dużo wody. Kilka razy załamała się pod nim podłoga. Z zarabianych pieniędzy utrzymywał swoją mamę, siedmioro dzieci i żonę. Występy zakończył w wieku 60 lat.

Swoje życie opisał w książce zatytułowanej „Nigdy nie dałem kopnąć się w...”

Tytuł jest bardzo wymowny, bo ojciec był silnym człowiekiem, nie tylko fizycznie. Nigdy nie dał się złamać, zawsze kierował się honorem i dobrem rodziny. Wykonał cztery razy więcej pokazów niż inni zawodowi atleci, którzy średnio nie przekroczyli 300. Z czasem, na skutek obciążenia doznał urazów kręgosłupa, kolan i stawów, miał problemy z poruszaniem się. Swoją godność zachował do końca, a gięcie żelaza było dla niego jedyną pracą, którą wtedy mógł zdobyć.

Rozmawiała

Katarzyna Zientara-Majewski



Maciej Drygas FOT. PAP

Moje filmy to osobiste światy...

Moje filmy to osobiste światy, które prezentuję widzom. „Pociągi” to opowieść o nas samych, realizując je chciałem zabrać widza w podróż – podkreślił Maciej Drygas, reżyser filmów dokumentalnych i scenarzysta.

Trudno się z panem umówić. Często jest pan w rozjazdach, zapraszany na kolejne wydarzenia. Nazywa się pana jednym z najwybitniejszych polskich dokumentalistów. Jak się pan w tym wszystkim odnajduje?

Na pewno nie czuję się wybitnym dokumentalistą. Jeżeli już szukamy określeń, to wydaje mi się, że bardziej pasuje cierpliwy archiwista. Myślę, że

to właśnie ta cierpliwość i wiara w codzienną pracę z materiałami archiwalnymi, może przynieść efekty w postaci filmu, który jak pokazują „Pociągi”, budzi zainteresowanie. Rzeczywiście bardzo dużo z nim podróżuję po świecie.

O „Pociągach”, czyli najnowszym pana filmie napisano, że to artystyczno-

-refleksyjna podróż przez XX wiek. Skąd pasja do filmów dokumentalnych? Czy ma to może coś wspólnego z zamyśleniem do historii?

Nigdy nie podejrzewałem, że tak potoczą się moje losy i pochłonie mnie świat dokumentu. Początki mojej kariery związane były z fabułą. Jako młody adept reżyserii asystowałem u Krzysztofa Zanussiego i Krzysztofa Kieślów-

skiego. Później zrealizowałem telewizyjny debiut, w którym popełniłem wszystkie błędy typowe dla debiutu. Stworzyłem kilka – w mojej ocenie – dobrych scenariuszy, a przynajmniej wydaje mi się, że nic lepszego później nie napisałem. Niestety były to jeszcze czasy PRL i nie przeszły cenzury. Do świata dokumentu trafiłem w zasadzie przypadkowo.

W jednym z wywiadów wspomniał pan, że zaledwie siedem sekund archiwalnego nagrania może być bezcennym skarbem...

To właśnie był ten przypadek. Trafiłem na historię Ryszarda Siwca i jego dramatycznego aktu samospalenia na Stadionie Dziesięciolecia w 1968 roku. Zacząłem prywatne śledztwo, początkowo nie marząc nawet o filmie. Ostatecznie w 1991 roku powstał dokument „Usłyszcie mój krzyk”. Te siedem sekund narzuciło mi pewien klucz dramaturgiczny, który rozciągnąłem do wielominutowej sekwencji. Równolegle zacząłem realizować dokument radiowy, coraz głębiej wsiąkając w sztukę dokumentalną. Dziś nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Choć producenci wciąż zgłaszają się do mnie z propozycjami, bym „na stare lata” zrealizował fabułę. Odnajduję w penetracji świata dokumentu ogrom inspiracji. Moje filmy to osobiste światy, które prezentuję widzom. Mają bardzo autorski charakter. Nie czuję żadnego żalu za kinem fabularnym.

Czym pana zdaniem, powinien charakteryzować się dobry dokumentalista?

Trudne pytanie... Myślę, że każdy twórca ma własną receptę. Prowadząc wykłady w szkole filmowej w Łodzi, kiedy zaczynam zajęcia z kolejnym rokiem, staram się uwrażliwić moich studentów na kwestie, które uważam za podstawowe. Nie tylko w kontekście zawodowym, ale także czysto ludzkim. Mówimy o umiejętności kon-



taktowania się z ludźmi, ciekawości drugiego człowieka, otwartości, empatii i wchodzeniu w relacje w każdej sytuacji. Bez względu na to, czy ma to charakter profesjonalny, czy nie. To daje człowiekowi solidne podstawy, kreśli odpowiednią optykę. Jeśli później, podczas pracy uda się tak poprowadzić strukturę filmu, żeby wznosiła się na wyższe piętra znaczeniowe, budowała emocje i tworzyła uniwersalną prawdę, to są to właśnie te elementy, które cechują dobre filmy dokumentalne.

Kiedy przeczytałem pana wypowiedź o siedmiu sekundach i bezcennym materiale, to odniosłem wrażenie, że takie podejście jest najlepszą definicją dobrego dokumentalisty...

Niezbędna jest też cierpliwość – taka naprawdę trudna do zniesienia cierpliwość – oraz wnikliwe poszukiwania. Oczywiście nad tym wszystkim unosi się bardzo ważna kwestia znalezienia pewnego klucza – oryginalnego, autorskiego – filtra, przez który przepuszczam historię. Przecież „Pociągi”, choć prowadzą nas przez XX wiek widziany z okna wagonu, nie są filmem historycznym. Pociągi stają się jedynie tłem, szkieletem pozwalają-

cym opowiedzieć historię o nas samych. Nad całą opowieścią unosi się jednak ciężar pewnego przekleństwa:



świadomość, że wciąż nie potrafimy uczyć się z własnych doświadczeń. Że powtarzamy te same błędy, jakby zapisane były w nas głębiej niż pamięć.

Co ma pan na myśli?

Wojny, które w filmie pojawiają się niczym refren, czas po nich i pomiedzy nimi. Nadzieja, że już „nigdy więcej”, by za chwilę znowu prowadzić jakąś wojnę. To wszystko składa się na moją autorską opowieść o świecie. Jeśli spojrzeć na ten film oczyma historyka, to oczywiście świat, który pokazuję, nie jest stuprocentowym odzwierciedleniem faktów i nie o to mi chodziło. Nie przenoszę się z daty na datę, nie pokazuję wszystkich przyczyn, które wywołały dane konflikty. Realizując „Pociągi” chciałem wciągnąć widza w podróż.

Udało się?

Myślę, że tak. Podczas wielu spotkań w różnych miejscach na świecie często słyszałem, że tak to jest odbierane. Widzowie mają poczucie, że wsiedli do tych pociągów, co mnie niezmiernie cieszy. Mogę powiedzieć, że było to moim marzeniem.

Jak już pan wyżej wspominał, początki drogi zawodowej, to współpraca „wielkimi Krzysztofami” polskiego kina – Kieślowskim i Zanussim. Jak to na pana wpłynęło?

To jest doświadczenie, które bardzo sobie cenię. Zaczę od tego, że nie dostałem się do łódzkiej Filmówki i tak się potoczyły moje losy, że... trafiłem do szkoły filmowej w Moskwie. Tam struktura nauczania była inna niż w Łodzi. Przez trzy lata studiowaliśmy razem z aktorami, co było w mojej oce-

nie najciekawszym elementem tej szkoły. Od początku byłem pod wielkim wrażeniem twórczości Krzysztofa Zanussiego. Chciałem robić takie filmy jak Zanussi. Zależało mi więc na praktyce u niego i to się udało. Zacząłem od stażu na planie filmu „Constans”, później pan Krzysztof zaproponował mi profesjonalną pracę asystenta przy filmie „Z dalekiego kraju”. Następny był „Przypadek” Kieślowskiego. To były dwie zupełnie różne metody pracy z aktorem. Dwie różne szkoły prowadzenia planu. Bardzo cenne doświadczenie.

Może pan to rozwinąć?

U Zanussiego, zwłaszcza przy „Z dalekiego kraju”, uczyłem się rzemiosła na gigantyczną skalę – setki statystów, trudne logistyczno-organizacyjne sceny, także batalistyczne. Jako reżyser dawał swoim asystentom ogromną odpowiedzialność, czasem pozwalając nawet pracować z drugą kamerą. Kieślowski natomiast był na planie niezwykle skupiony i precyzyjny. Jego filmy produkcyjnie były skromniejsze. Moja rola polegała tam raczej na wypełnianiu konkretnych zadań zleconych przez mistrza. Nie było tam tyle miejsca na asystencką kreatywność, jak u Zanussiego.

Filmy dokumentalne wzięły się, jak sam pan mówi z przypadku, asystował pan przy filmie „Przypadek”, ile w naszym życiu zależy od przypadku?

Używałem już w naszej rozmowie tego określenia, ale w zasadzie wspomniane przypadki wolę nazywać prezentami. Prezentami, które czasem prowadzą do wielkich odkryć. Tak było przy filmie „Stan nieważkości”, opowiadającym o radzieckiej kosmonautyce w czasie rozpadu Związku Radzieckiego. Przesłuchałem wtedy ponad 600 godzin nagrań rozmów, między stacją orbitalną a Centrum Kierowania Lotami. Do każdego filmu prowadzę zeszyt z notatkami. Na ostatniej



stronie zapisuję, często wydawałoby się mało wiarygodne plotki, zasłyszane historie, które sprawdzam na samym końcu dokumentacji. Dzięki tej praktyce odkryłem w Instytucie Medycyny Kosmicznej pewną piwnicę z ogromną ilością materiałów filmowych. Dyrektor instytutu twierdził, że nic o niej nie wie, a klucze do pomieszczenia zaginęły wraz ze śmiercią dawnego pracownika.

Brzmi, jak wstęp do dobrego thriller...

Zaproponowałem włamać... a dokładnie komisyjne wyłamanie zamków. W środku znaleźliśmy setki pudełek z taśmą 35 mm – całe góry materiałów, o których nikt nie miał pojęcia. Musiałem wynająć ciężarówkę i montażownię, żeby wraz z pracownikami instytutu w ogóle sprawdzić, co tam jest. Okazało się, że są to unikalne, nigdy nie emitowane taśmy z zapisem eksperymentów na ludziach i zwierzętach. Dzięki tym sekwencjom udało mi się wzmocnić przekaz emocjonalny w moim filmie. Tak więc pan pyta o przypadek, a ja te przypadki wolę nazywać prezentami, na które trzeba jednak zasłużyć.

Czyli dokumentaliście potrzebna jest także upór i determinacja, by samemu dać sobie szansę na te przypadki, czy jak pan woli prezenty?

To jest najważniejsza cecha. Pewna cierpliwość, czasem wręcz bezgraniczna, a do tego ciekawość. Mnie bardzo ciekawi przeszłość. Dawne światy zapisywane na filmowych taśmach. Lubię przyglądać się twarzom ludzi, których już dawno nie ma i światom – bezpowrotnie minionym. Bardzo to lubię.

Czyli jest pan takim trochę filmowym historykiem

Bardziej bym się określił mianem filmowego archeologa... Może ma pan rację, może rzeczywiście coś w tym jest...

Filmowy historyk, archeolog, ale jest pan także – co wydaje się chyba najbardziej zaskakujące autorem operowego libretta. Kim by pan został, gdyby nie reżyseria?

Właściwie to był kolejny, jak to pan ujmuję, przypadek. Jestem człowiekiem prozy, który w życiu nie napisał wiersza. Jak do tego doszło? Od wielu już lat współpracuję – i bardzo sobie tę współpracę cenię – z wybitnym kompozytorem Pawłem Szymańskim, który

Co może pan przekazać osobom, które chciałyby pójść w pańskie ślady?

Myszę, że oprócz cierpliwości, o której wspominałem już wcześniej, najważniejsza jest autentyczna ciekawość świata. Ciekawość prawdziwa – skierowana zarówno ku miejscom, jak i ludziom. Dziś podróżowanie stało się modne, ale często mam wrażenie, że bywa powierzchowne: nastawione na kolekcjonowanie kolejnych punktów na mapie, pozbawione głębszego prze-



po otrzymaniu propozycji skomponowania opery zapytał mnie, czy podejmę się napisania libretta do niej. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, przez co wydawało mi się to nie lada wyzwaniem. Pomyślałem, że powinienem podejść do tej pracy, jak do filmu i punktem wyjścia powinno być jakieś autentyczne wydarzenie. Libretto powstawało więc w podobny sposób, jak moje filmy – na bazie głębokiej dokumentacji i przejściu od faktu do fikcji. Tak napisałem słowa do „Qudsja Zaher”.

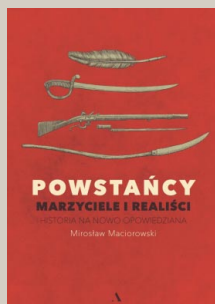
Czyli gdyby nie reżyseria, to oddałby się pan pisaniu?

Bardzo chciałbym być pisarzem. Nie wiem czy bym nim został, ale na pewno bym o tym marzył.

życia. Niekiedy te wyprawy są wręcz ekstremalne, jak pokonanie pustyni rowerem i tym podobne wyzwania. Ale kiedy przychodzi opisać jeden wyjątkowy moment z takiej podróży, nagle brakuje słów. Jakby cały wysiłek skoncentrowany był na pokonaniu drogi, a nie na zrozumieniu, po co w ogóle w nią wyruszyliśmy. I właśnie wtedy umyka nam to, co najcenniejsze: sens samej wędrówki.

**Rozmawiał
Mateusz Wyderka**

Zdjęcia pochodzą z filmu „Pociągi”.
Scenariusz i reżyseria: Maciej Drygas



Mirosław Maciorowski

„Powstańcy. Marzyciele i realiści”

To monumentalna praca pod redakcją Mirosława Maciorowskiego – zbiór 32 rozmów przeprowadzonych z 27 wybitnymi historykami. Licząca ponad 1250 stron książka nie jest klasycznym podręcznikiem, lecz wielowątkową opowieścią o polskich zrywach niepodległościowych – od insurekcji kościuszkowskiej po rok 1989. Wśród rozmówców znaleźli się m.in. Adam Zamojski, Andrzej Chwalba, Marcin Zaremba i Andrzej Paczkowski, co pozwala uchwycić różnorodność perspektyw i interpretacji wydarzeń historycznych.

Książka pokazuje, że powstania nie były jedynie romantycznymi zrywami, lecz elementem długiego procesu walki o państwowość. Autorzy analizują zarówno heroizm, jak i błędy popełniane przez przywódców, nie unikając trudnych pytań o sens walki oraz cenę wolności. Tytułowi „marzyciele i realiści” to nie tylko powstańcy z bronią w ręku, lecz także politycy, działacze społeczni i intelektualiści – ludzie z krwi i kości, którzy dążyli do niepodległości różnymi metodami: od walki zbrojnej po polityczny kompromis.

Styl publikacji jest przystępny i dynamiczny – zamiast suchego wykładu czytelnik otrzymuje żywe dialogi, anegdoty oraz historie konkretnych ludzi. Bogate wydanie, zawierające mapy i archiwalne fotografie, dodatkowo podnosi wartość książki.

„Powstańcy. Marzyciele i realiści” to lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce głębiej poznać polską drogę do niepodległości.

DG

Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025



Agata Puścikowska

„Lotniczka”

Opowieść o Janinie Lewandowskiej,
jedynej kobiecie zamordowanej w Katyniu

To biografia, która próbuje wydobyć z cienia historii postać Janiny Lewandowskiej – córki generała Józefa Dowbor-Muśnickiego, pasjonatki lotnictwa i jedynej kobiety zamordowanej w Katyniu.

Autorka z jednej strony buduje opowieść o dzieciństwie w domu generała, o dorastaniu w cieniu silnego autorytetu ojca oraz o międzywojennej dorosłości – z jej rozczarowaniami, poszukiwaniem własnej drogi i rosnącą fascynacją lataniem. Z drugiej strony wprowadza fragmenty dokumentalne oparte na archiwach, listach i relacjach świadków.

Ważnym elementem narracji jest także porządkowanie mitów narosłych wokół postaci Lewandowskiej. Autorka pokazuje ją nie jako pomnikową bohaterkę, lecz jako kobietę z ambicjami, wątpliwościami i odwagą budowaną stopniowo – między innymi w świecie lotnictwa, zdominowanym wówczas przez mężczyzn.

Ostatnie rozdziały opowiadają o wojnie, niewoli w obozie jenieckim w Kozielsku i tragicznym finale w Katyniu. „Lotniczka” to próba odtworzenia biografii z dokumentów i świadectw. Dzięki temu za znanym hasłem „jedyna kobieta zamordowana w Katyniu” pojawia się historia życia – z pasją, wyborami i dramatycznym końcem.

KZM

Wydawnictwo Znak, Kraków 2026



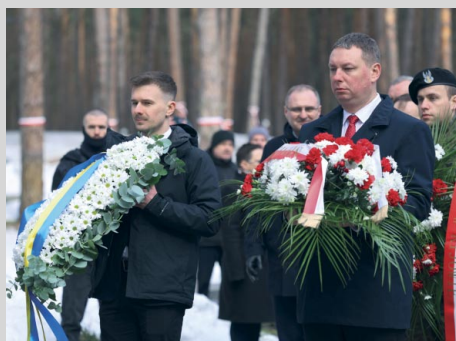
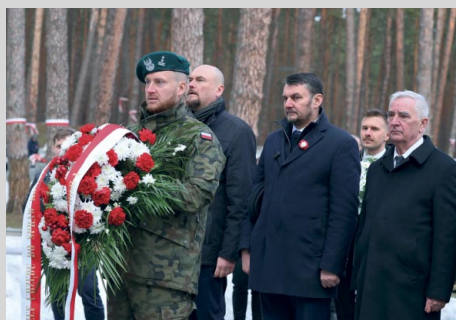
86 lat od decyzji o Zbrodni Katyńskiej

– Stojąc na tej ziemi, oddajemy cześć nie tylko polskim oficerom i przedstawicielom naszej elity, lecz wszystkim ofiarom sowieckiego barbarzyństwa pochowanym w Bykowni. Pamięć o nich jest dla nas zobowiązaniem i przestrogą przed totalitaryzmem i pogardą dla ludzkiego życia. Jest także źródłem siły i nadziei – bo pokazuje, że nawet najstaranniej ukrywana prawda w końcu zwycięża – powiedział szef UdSKiOR Lech Parell na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni. Przypomniął o ofiarach stalinowskiej zbrodni i katyńskim kłamstwie, z którym przez lata musiały mierzyć się rodziny, badacze i pokolenia Polaków.

Polska delegacja oddała hołd ofiarom 5 marca, w rocznicę podjęcia decyzji o rozstrzelaniu polskich jeńców z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku, podjętej przez Biuro Polityczne KC WKP(b). W uroczystościach uczestniczyli m.in. ambasador Piotr Łukasiewicz, chargé d'affaires ad interim Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie, podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego Marek Krawczyk, zastępca ministra kultury Ukrainy Iwan Werbycki oraz przedstawiciele rodzin katyńskich i miejscowej Polonii.

Następnego dnia w Ambasadzie RP w Kijowie odbyło się uroczyste spotkanie Polonii ukraińskiej oraz Ukraińców zaangażowanych w kultywowanie pamięci o polskiej historii z członkami polskiej delegacji.

Minister Lech Parell uhonorował ambasadora Piotra Łukasiewicza medalem „Pro Bono Poloniae”, a medale „Pro Patria” otrzymali: Paweł Owad, Oksana Novikova-Vyhran, Bohdan Netebe, Vanda Pavlova, Andrii Amons, Valerii Filimonikhin oraz Walent Kowalski.



FOT. UDSSKOR (5)